

*Drew Jennifer*

*Autor pilnie poszukiwany*

*Maggie Saunders, redaktorka znanego wydawnictwa, napisała pod pseudonimem kilka przewodników turystycznych, nie biorąc udziału w żadnej z wypraw. Nowy właściciel firmy chce wysłać autora serii na szereg promocji i spotkań autorskich. Maggie ma więc problem - musi szybko znaleźć mężczyznę, który przekonująco wypadnie w roli autora podróżnika...*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Błagam, wybierz chłopaka ze sztucznym węzem na szyi - zaklinała Rayanne Jordan, spoglądając spod sztucznie zagęszczonych rzęs i wsuwając za ucho kosmyk włosów, które w tym tygodniu były jasne jak len.

- Węże przyprawiają cię o dreszczyk emocji? - droczyła się z nią Maggie Sanders.

Doskonale wiedziała, dlaczego Rayanne wybrałaby szarookiego bruneta o kruczoczarnych kędzierzawych włosach spływających na ramiona. Sama także zwróciła na niego uwagę.

- Co ty! Nienawidzę tych wszystkich pełzaczy! Dobra, przyznaję, że gumowy wąż to kiepski pomysł, ale chłopak pasuje do wizerunku autora przewodników z serii „Wyprawa w nieznane”.

## 8

- Wygląd to nic wszystko. Idealny kandydat musi przede wszystkim mówić do rzeczy. Na razie przepytaliśmy dwóch. Ilu zostało? Dziewięciu?
- Raczej około trzydziestki -oznajmiła Rayanne. - Kolejka stoi karnie w holu i w sekretariacie. Tylu ich jest, że szpilki nie wcisniesz. Duzo ogłoszeń powiesiłaś?
- Dwa, może trzy. Wszystkie w pobliżu szkoły aktorskiej - odparła Maggie, zaskoczona, że tylu jest chętnych.
- Wzbudziły zainteresowanie.
- Przyślij mi następnego kandydata. Maggie lubiła Rayanne za poczucie humoru i zapał do pracy. Przed sześcioma laty, zaraz po studiach, również zaczynała jako sekretarka u pana Granville'a, cenionego wydawcy z Pittsburgha. Rayanne pracowała u niego od roku. Zaprzyjaźniła się z Maggie. Czasami razem jeździły do domu, bo obie pochodziły z niewielkich miasteczek niedaleko granicy stanu Wirginia Zachodnia. Maggie uwielbiała swoją pracę w małym wydawnictwie, głównie dlatego, że pan Granville był wspaniałym szefem. Przed kilku laty zatrudnił ją tymczasowo jako sekretarkę, od razu obiecując coś lepszego, gdy tylko nadarzy się sposobność. Po kilku miesiącach została redaktorką. Wielka szansa pojawiła się, gdy zlecił jej napisanie pierwszej książki z nowej serii „Wyprawa w nieznane”. Popularność pierwszego tomu przeszła wszelkie oczekiwania, a trzy kolejne sprzedawały się jeszcze lepiej. Maggie pisała je, nie opuszczając domu,

## *Autor pilnie poszukiwany*

### **9**

a potrzebnych informacji szukała w bibliotece oraz w Internecie. Zanim ukazały się przewodniki z serii „Wyprawa w nieznane”, wydawnictwo pana Granville'a prosperowało całkiem nieźle, publikując książki historyczne, zwykłe przewodniki oraz tomiki poezji. Firma zajmowała dwa górne piętra w starej, wąskiej, dwupiętrowej kamienicy z czerwonej cegły w centrum Pittsburgha, niedaleko muzeum historii naturalnej. Na drugim piętrze znajdował się obszerny gabinet pana Granville'a oraz magazyny, a na pierwszym gnieździła się reszta pracowników. Niewielki hol z windą okazał się dziś zbyt mały, żeby pomieścić wszystkich czekających na rozmowę z Maggie. Do jej gabinetu wszedł następny kandydat ubrany w dżinsy i czarny T-shirt. Oryginalny w swej zwyczajności, wyróżniał się na korzyść wśród stłoczonych w holu młodzieńców poprzebieranych za komandosów oraz weteranów safari. Jeden z nich pojawił się w stroju niemal adamowym. Miał tylko przepaskę na biodrach skrojoną ze sztucznego futerka w lamparcie cętki. Osobliwie przyodziani młodzi aktorzy zaludnili korytarze wydawnictwa, bo pisane przez Maggie przewodniki z serii „Wyprawa w nieznane” stały się bestsellerami. Zyski Domu Wydawniczego Granville znacznie wzrosły, co sprawiło, że doskonale prosperującą firmą zainteresowali się przedstawiciele koncernu Pierponta, największego potentata finansowego w Pittsburghu.

*Jennifer Drew*

Szef Maggie dobiegał siedemdziesiątki, więc marzyła mu się emerytura. Nie chciał jednak likwidować przedsiębiorstwa, które założył jego dziadek, a nie miał następców. Dlatego zdecydował się je sprzedać Pierpontowi. W umowie przedwstępnej zapisano, że przez rok, w okresie przejściowym, były właściciel będzie pełnić funkcję konsultanta. Pan Granville zataił jednak pewien drobiazg przed nabywcą swojej firmy. Ten ostatni nie miał pojęcia, że M. S. Stevens, rzekomy autor przewodników opisujących ekstremalne wyprawy w nieznane, jest w rzeczywistości niewysoką kobietką mierzącą niespełna metr sześćdziesiąt i ważącą pięćdziesiąt pięć kilo, która wzdraga się na wspomnienie jedynej w swoim życiu przygody na łonie natury. Był nią tygodniowy pobyt na obozie harcerskim. W tym czasie Maggie zdążyła zabłądzić w lesie, spalić na węgiel gulasz z okrawków mięsa gotowany nad obozowym ogniskiem oraz wpaść w pokrzywy tą częścią ciała, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Niechętnie wspominała zwłaszcza to ostatnie doświadczenie.

Rozejrzała się po niewielkim, starannie urządzonym gabinecie. Ciemnoszare metalowe biurko, komputer, obrotowy fotel... Surowość wystroju wnętrza łagodziły osobiste drobiazgi. Ze zdjęć w staromodnych, bogato rzeźbionych ramkach podarowanych przez babcię ze strony ojca uśmiechali się rodzice oraz siostry. O rok starsza Annie niedawno wyszła za pilota wojskowego i tak samo jak

## *Autor pilnie poszukiwany*

### 11

Maggie była zagorzałą domatorką unikającą mocnych wrażeń. Młodsza o trzy lata Laurie wciąż poszukiwała samej siebie. Na regale stał wciśnięty między książki ogromny bukiet sztucznych kwiatów, ręcznie robionych z jedwabiu przez panią Sanders. Na półkach królowały miniaturowe słonie we wszystkich kolorach tęczy. Maggie kolekcjonowała je od lat.

Wydawnictwo pana Granville'a miało stałą klientelę i nie dążyło do rozszerzenia rynków zbytu. Przewodniki z serii „Wyprawa w nieznane” mimo braku reklamy sprzedawały się znakomicie. Inne książki również znajdowały nabywców, głównie dzięki sprzedaży wysyłkowej oraz księgarni internetowej. Do tej pory nikt się nie przejmował, że Maggie podróżuje wyłącznie palcem po mapie, a wiadomości potrzebnych do pisania kolejnych tomów szuka w literaturze fachowej oraz w Internecie. Sytuacja skomplikowała się dopiero wtedy, gdy negocjujący kupno wydawnictwa Pierpont wpadł na pomysł, by serię podróżniczych przewodników rozpropagować na cały kraj. Miała temu służyć trasa promocyjna i spotkania autorskie.

Pierpont uznał, że M. S. Sanders musi spotykać się z publicznością. W planach były także wywiady i sesje zdjęciowe dla popularnych czasopism. Nowy właściciel nie miał zielonego pojęcia, że jego nowo pozyskany skarb to uzależniona od komputera dwudziestoosmioletnia kobieta, dla której prawdziwym wyzwaniem jest nawet spacer po parku.

Co

*Jennifer Drew*

gorsza, Maggie panicznie bała się wszelkich wystąpień publicznych, mdlała ze strachu na widok mikrofonu i ulegała panice, ilekroć znalazła się w centrum uwagi. Homer Granville z obawy, że do transakcji nie dojdzie, zataił te szczegóły przed panem Pierpontem i dlatego trasę promocyjną przygotowano z myślą o wyimaginowanym macho, który w przerwach między niebezpiecznymi wyprawami z talentem opisuje swoje przeżycia.

Rozwiązanie problemu wymyślone przez pana Granville'a wydawało się bardzo proste: trzeba zatrudnić błyskotliwego faceta o właściwych warunkach zewnętrznych, który zamiast Maggie będzie się spotykać z publicznością i dziennikarzami. Stąd pomysł, żeby umieścić ogłoszenia koło budynku szkoły aktorskiej, bo dla jej studentów odgrywanie różnych ról to chleb powszedni. Kto by przypuszczał, że w Pittsburgu tyłu jest pozerów chętnych do podszywania się pod sławnego podróżnika barwnie opisującego niebezpieczne wyprawy! Kandydaci wypełnili cały hol.

Większość podpierała wykładane korkiem ściany, nieliczni siedzieli na krzesłach z chromowanego metalu i białej skóry. Maggie nie miała pojęcia, jak z tej hałaśliwej zgrai wybrać idealnego kandydata.

Gdyby nie wdzięczność i sympatia dla pana Granville'a, rzuciłaby posadę w wydawnictwie. Miała przecież dyplom z dziennikarstwa. Mogłaby wyciągnąć go z szuflady i zatrudnić się w lokalnej gazecie...

Teoretycznie. W praktyce mało prawdopodobne, skoro pisanie książek oraz ich redago-

## *Autor pilnie poszukiwany*

### 13

wanie było jej ulubionym zajęciem. W zaciszu swego gabinetu wymyślała niezwykle przygody. Bez obaw przeżywała dreszczyk emocji, podobnie jak czytelnicy, którzy podczas lektury czuli się tak, jakby ryzykowali życie.

W otwartych drzwiach gabinetu stanęła szczupła, wysoka szatynka z włosami splecionymi w warkocz, ubrana w ciuchy koloru khaki. Maggie spojrzała na nią z uznaniem. Można zatrudnić kobietę! W chwilę później kandydatka zamachała jej przed oczyma wściekle żółtym pakietem, wyrwała zawleczkę, a po chwili pół gabinetu wypełniła tratwa ratunkowa.

- Rany boskie! - Zaskoczona Maggie wstrzymała oddech w oczekiwaniu na kolejne efekty specjalne. Co dalej? Stado różowych słoni i hipopotamów przemknie przez jej gabinet? Kandydatka, trzymając na ramionach jadowicie zieloną kobrę, wykona taniec brzucha?

- Moim zdaniem najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Nazywam się Mary Smith. Ale banał, co? Sama rozumiesz, koteńku, że muszę zaistnieć w świadomości innych ludzi.

- Jasne. Zapamiętałam - odparła z przekąsem Maggie, podnosząc przewróconego słonika z porcelany, który stracił pół ucha, gdy uderzony tratwą spadł z biurka.

Pospiesznie zadała kandydatce kilka pytań. W trakcie rozmowy zadzwonił telefon. Odebrała zadowolona, że będzie miała chwilę oddechu. Kandydatka okazała się nadzwyczaj absorbująca.



*Jennifer Drew*

- Maggie Sanders, słuchani.

- Tak, tak, oczywiście.

To był Homer Granville. Maggie z uśmiechem pomyślała o szefie. Nosił spiczastą siwą bródkę i dwuogniskowe okulary w drucianej oprawie.

Ubierał się w ciemne garnitury i śnieżnobiałe koszule. Przypominał wiekowego angielskiego kamerdynera, ale dziś w jego głosie brakowało charakterystycznego tonu protekcyjnalnej wyniosłości. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, co mu się na co dzień nie zdarzało.

- Dzwonię z komórki. Parkuję auto - oznajmił z naciskiem.

Jakie to ciekawe! Przed chwilą Maggie nie wiedziała nawet, że opuścił budynek.

- Jest ze mną pan Pierpont. Chciałby poznać zespół.

- Pan mówi serio?

- Tak - potwierdził szef.

- Proszę go zatrzymać na dole tak długo, jak się da. Robię casting. W holu aż się roi od kandydatów do roli wziętego autora. Lub autorki.

- Stanę na wysokości zadania. Połączenie zostało przerwane.

Maggie zerwała się z fotela, okrążyła biurko i popchnęła Mary Smith oraz jej tratwę ratunkową w stronę drzwi.

- Dzięki! Odezwiemy się do pani - zapewniła kłamliwie, nie dopuszczając kandydatki do głosu. - Rayanne! - zawołała, wzywając sekretarkę do swego gabinetu.

Przyciszonym głosem przekazała nowinę. Ra-

*Autor pilnie poszukiwany*

15

yanne natychmiast zaczęła działać. Wyszła do kandydatów i oznajmiła głośno:

- Bardzo, ale to bardzo serdecznie wszystkich państwa przepraszam. Mamy w wydawnictwie małe zamieszanie i musimy zmienić plany. Wszyscy państwo złożyli formularze zgłoszeniowe z adresami i numerami telefonów. Obiecuję, że przed końcem tygodnia na pewno się odezwiemy.

- Dziś jest czwartek, więc zostaje tylko piątek, czyli jutro - wtrącił mężczyzna oparty o burko Rayanne.

- Wielkie dzięki, że pan mi to uświadomił - odparła podejrzanie słodko. Po usłyszeniu złej nowiny tłum zebrany w holu trochę szemrał, ale zaczął się z wolna rozchodzić. Maggie miała wyrzuty sumienia, że wysługuje się Rayanne, ale wobec takich sytuacji zawsze chowała głowę w piasek. Bała się sporów, kłótni, awantur. Mimo poczucia winy nie zamierzała się kajać. Rayanne była twarda i w trudnych przypadkach znakomicie dawała sobie radę. Wkrótce kandydaci opuścili hol. Dopiero wtedy Maggie odważyła się wyjść ze swego gabinetu.

- Skąd się tu wzięła tratwa ratunkowa? - zapytała Rayanne. Maggie odwróciła się do niej, żeby odpowiedzieć... i zobaczyła marudera.

- Dziękujemy. Na dziś koniec. Zawiadomimy pana o terminie rozmowy - powiedziała do wysokiego mężczyzny opalonego na ciemny brąz. Stał przed tablicą informacyjną, zasłonięty dorodnym fikusem beniaminem.

*Jennifer Drew*

- Szukam Maggie Sanders - odparł niskim, dźwięcznym głosem.  
- Rozumiem, ale to nie jest odpowiednia chwila. Odezwiemy się do pana.  
Wszystkie dane są w formularzu.

Ten mężczyzna był starszy od studentów ubiegających się o angaż. Na oko trzydziestolatek. Blondyn z jaśniejszymi kosmykami, jakby sporo czasu spędzał na słońcu. Maggie od razu zwróciła uwagę na intensywnie niebieskie oczy. Ledwie widoczne kurze łapki świadczyły o tym, że często je mrużył lub dużo się uśmiechał. Nos zapewne był kiedyś złamany, ale leciutkie skrzywienie dodawało twarzy wyrazistości. Mimo drobnego defektu rysy sprawiały wrażenie bardzo regularnych. Ubrany był w spodnie koloru khaki i letnią koszulę z tej samej tkaniny. Kilka guzików od góry było rozpiętych, a spod tkaniny wysuwały się jasne włosy porastające tors. Dostał u Maggie najwyższą notę za wygląd, ale z pewnością brakowało mu talentu do kompromisu, bo ani myślał ruszyć się z miejsca. Popatrzył na nią spode łba.

- Nie wiem, co się tutaj dzieje, i nie mam z tym nic wspólnego - powiedział takim głosem, że ciarki jej przeszły po plecach. - Chcę tylko zobaczyć się z Maggie Sanders. Obiecałem to naszej wspólnej znajomej. Sytuacja się skomplikowała. Rayanne siedziała przy swoim biurku. Udawała zapracowaną, lecz pilnie nadstawiała uszu, słuchając osobliwej rozmowy.

## *Autor pilnie poszukiwany*

17

- To mnie pan szuka - powiedziała Maggie - ale teraz nie możemy rozmawiać. Zapraszam w innym terminie.

- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Ann Cartwright prosiła, żebym to pani oddał. - Wyciągnął rękę, w której trzymał brązową kopertę.

- Kim pan jest? - Pan Granville i Peter Pierpont weszli już pewnie do budynku, może nawet jechali windą, lecz mimo to zaciekawiona Maggie zaczęła rozmawiać z nieznanym.

- Nazywam się Mark Sully. Ann uczestniczyła w górskim spływie kajakowym, który prowadziłem. Przyjechałem tu na jej prośbę, żeby oddać to pani do rąk własnych.

- Ann jest przyjaciółką mojej mamy - powiedziała na wypadek, gdyby o tym nie wiedział. Raczej mało prawdopodobne.

Ann Cartwright była samozwańczą konsultantką i oddaną fanką przewodników z serii „Wyprawa w nieznane”. Od dzieciństwa przyjaźniła się z matką Maggie i jako zapalona turystka prowadziła życie pełne mocnych wrażeń, które młoda pisarka знаła tylko z książek oraz internetowych stron WWW. Ann uważnie czytała książki napisane przez Maggie, chwalać pewne fragmenty albo wskazując niedociągnięcia. Była przekonana, że jej subiektywne opinie natychmiast zostaną wzięte pod uwagę. Maggie lubiła ją i była wdzięczna za szczere zainteresowanie. Podejrzewała, że w grubej kopercie znajdzie krytyczną recenzję ostatniego przewodnika.

*Jennifer Drew*

Mark Sully wcisnął jej przesyłkę do rąk i powiedział tonem świadczącym o zadowoleniu z siebie i poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

- Załatwione. Miło było panią poznać, Maggie. Ann wynosiła pod niebiosą pani przewodniki.

- Pan ich nie czytał? - Głupie pytanie! Powinna ugryźć się w język.

- Jeden przeglądałem - odparł z kamienną twarzą. Żadnej wskazówki, czy według niego książka może się przydać doświadczonemu poszukiwaczowi przygód.

- Nie zamierzałam...

W tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do korytarza. Maggie przyjęła to spokojnie. W samą porę pozbyła się gromady kandydatów, a ten... Jak mu tam? Aha... Mark Sully, to znajomy znajomych. Właśnie wychodzi.

- Peter, chciałbym ci przedstawić dwie osoby, bez których moje wydawnictwo nie byłoby tym, czym jest. Obie panie są niezastąpione. To Rayanne Jordan, nasza sekretarka. Pracuje tutaj od roku i jest prawdziwą profesjonalistką.

Rayanne wstała, żeby przyszyły właściciel firmy mógł ją sobie obejrzeć, i z należnym szacunkiem uścisnęła podaną dłoń. Maggie przyznała panu Granville'owi dodatkowe punkty za próbę uzyskania dla pracowników gwarancji zatrudnienia.

- A to moja prawa ręka i znakomita redaktorka, której zawdzięczamy wydanie wielu naszych najlepszych książek.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Maggie.

*Autor pilnie poszukiwany*

19

- Peter Pierpont mocno ścisnął jej dłoń, przytrzymał trochę dłużej, niż wypadało, i uśmiechnął się szeroko.

Był wysoki i chudy jak tyczka, ubrany w pogniecioną marynarkę z żółtego lnu, biały T-shirt i białe spodnie. Nosił mokasyny, ale nie miał skarpetek. Nie wyglądał na statecznego prezesa w mocno średnim wieku. Bure oczy patrzyły bystro, twarz była pociągła, wąskie usta rozciągały się w niezbyt przyjemnym uśmiechu. Siwe, ciemnoszare włosy strzygł na jeża. Maggie całkiem inaczej wyobrażała sobie groźnego rekina finansjery.

Mark nie miał zamiaru wyjść. Stał obok niej, wyraźnie zainteresowany. Chyba czekał, żeby go przedstawiła.

- To jest Mark Sully... - zaczęła.

- Witaj, M. S. - przerwał pan Granville z porozumiewawczym uśmiechem. - Miło, że wpadłeś. Chciałbym, żebyś poznał przyszłego właściciela mego wydawnictwa. To jest pan Peter Pierpont.

- Ale to nie jest... - próbowała tłumaczyć Maggie, lecz znów jej przerwano.

- Stoi przede mną tajemniczy M. S. Stevens, prawda? - mruknął znacząco Pierpont i zmiążdżył dłoń Marka w uścisku znamionującym siłę niekwestionowanego samca alfa.

Mark Sully zmarszczył brwi i rzucił Maggie pytające spojrzenie.

- Nie rozumiem... - odparł. - Wpadłem tylko oddać Maggie list od znajomej.

Westchnęła ponuro. Granville najwyraźniej uznał

*Jennifer Drew*

Sully'ego za aktora wynajętego do odbycia trasy promocyjnej. Nic dziwnego. Wystarczy rzut oka na Marka i od razu widać, że ma się do czynienia z poszukiwaczem przygód. Z kolei dla Pierponta tajemniczy M. S. był autorem przewodników. Maggie nie miała pojęcia, jak obu panów wyprowadzić z błędu, nie ryzykując, że korzystna transakcja nie dojdzie do skutku i szef będzie musiał znów odłożyć przejście na emeryturę.

Pierpont z pewnością należał do ludzi, którzy wiedzą lepiej i słyszą jedynie to, co chcą usłyszeć, więc puścił słowa Marka mimo uszu.

- Moi ludzie przygotowują już trasę promocyjną - oznajmił. - Spece od marketingu zgodnie twierdzą, że pańskie książki trafiają w czytelnicze zapotrzebowanie i mogą się sprzedawać o niebo lepiej. Trzeba je tylko odpowiednio zareklamować.

- Jestem z innej, choć pokrewnej branży - bronił się Mark Sully. - Jeżdżę z turystami na niebezpieczne wyprawy w nieznane.

- I dlatego tak profesjonalnie potrafi je pan opisać - wpadł mu w słowo Granville. - Drogą M. S., przed nami nie trzeba udawać. To chwalebne, że nie szuka pan taniej popularności, zachowując incognito, ale my wszyscy znamy pańską tajemnicę.

Pierpont ostentacyjnie popatrzył na markowy zegarek wart tyle co niezły samochód.

- W każdym razie przede mną nie musi pan udawać przeciętniaka. Faceta z talentem rozpoznam na kilometr. Granville wszystko panu wyjaś-

## *Autor pilnie poszukiwany*

21

ni. Ja uciekam. Muszę zdążyć na samolot. Moi ludzie skontaktują się z panem, gdy prawnicy dopracują kontrakt. Cieszę się, że będzie pan dla mnie pracował.

Mark popatrzył na Maggie tak, jakby chciał zapytać, czy trafił do wydawnictwa, czy do domu wariatów. Nim zareagowała, bez słowa ruszył ku drzwiom.

Pierpont spochmurniał. Jako właściciel potężnego koncernu oczekiwał od autora większej czołobitności, skoro miał środki, żeby go wydawać i lansować. Pisarze powinni zabiegać o jego względy. M. S. Stevenson za dużo sobie pozwalał.

Pan Granville przypomniał dyskretnie przyszłemu wspólnikowi o planowanym locie, a ten spojrział znowu na kosztowny zegarek, rozchmurzył się i zapomniał natychmiast o krnąbrnym autorze.

Maggie aż nazbyt wyraźnie uświadamiała sobie, w jaki sposób doszło do tego, że prosty pomysł, by na czas trasy promocyjnej wynająć aktora do roli wziętego pisarza, zmienił się nagle w prawdziwy koszmar. Gdy tylko obaj szefowie, obecny i przyszły, zniknęli z pola widzenia, wybiegła z biura i popędziła korytarzem. Musiała znaleźć takie wyjście z sytuacji, dzięki któremu pan Granville uniknie strat, a ona sama nie zostanie bez pracy.

Mark nacisnął guzik windy, a gdy nie zjawiała się natychmiast, co zresztą było do przewidzenia, ruszył w stronę klatki schodowej. Obojętnym spojrzeniem przebiegł po eleganckich detalach



*Jennifer Drew*

modnego wystroju wnętrza. Powinien domyślić się, że drobna przysługa oddana Ann Cartwright przysporzy mu kłopotów. Nie miał nic przeciwko tej podstarzałej, mocno postrzelonej kobiecie, ale już wówczas, gdy zapisywała się na wyprawę po Kolumbii Brytyjskiej, zwróciła jego uwagę, bo w przeciwieństwie do nadzianych burzujów nie twierdziła, że w leśnej głuszy najważniejszy jest renomowany sprzęt. W przeciwieństwie do reszty klientów Marka nie marudziła, że w kawie są patyki, a do butów sypie się piasek. Inni ciągle mieli jakieś powody do narzekań.

Mark skrzywił się wymownie. Nie tęsknił za turystami-neofitami, którzy nie odróżniali kanionu od pastwiska, ale z różnych względów nie mógł sobie pozwolić, żeby jako trzydziestolatek przejść na emeryturę. Musiał też myśleć o ukochanej babci, która nie miała ochoty sprzedać domu w górzystych okolicach Pensylwanii i zamieszkać na Florydzie z jego rodzicami. Tamci dwoje wkrótce zagłaskaliby ją na śmierć.

Cora Sully przed laty wytrwale pomagała mężowi budować rodzinny dom. Własnymi rękami wznosili go deska po desce. Córce stuknęła osiemdziesiątka i ta ważna rocznica utwierdziła tylko starszą panią w przekonaniu, że nie przesadza się starych drzew. Mark jako jedyny w rodzinie podzielał jej zdanie i zawsze był gotów do pomocy. Jego rodzice i starszy brat Todd rozpoczęli zmasowane natarcie, gdy Cora spadła z dachu i złamała rękę w nadgarstku. Oczywiście nie powinna sama

### ***Autor pilnie poszukiwany 23***

wymieniać obluzowanej dachówki nad gankiem, ale nie sprawdziły się również ponure przepowiednie najbliższych, którzy twierdzili, że jeśli nadal będzie mieszkać na odludziu, niewątpliwie skręci sobie kark. Mark miał wrażenie, że znalazł się na zakręcie. Dokonywał teraz ważnych życiowych wyborów. Chciał i musiał zająć się babcią, ale mieszkanie pod jednym dachem nie wchodziło w grę, ponieważ oboje byli zbyt niezależni. Postanowił zbudować własny dom na leśnej działce, którą zostawił mu dziadek. Wyliczył, że budowa pochłonie wszystkie jego oszczędności. Skoro miał dyskretnie opiekować się babcią, na pewien czas powinien zrezygnować z dalekich i niebezpiecznych wypraw. Problem w tym, z czego się utrzymać. Potrafił żyć oszczędnie, ale zamierzał nadal jeździć bezpiecznym autem z napędem na cztery koła. Nie mógł także odzwyczaić się od jedzenia. Zwykła posada nie wchodziła w grę. Miał już takie doświadczenie i widział, że to nie jest zajęcie dla niego. Po paru latach zwiął z uczelni, choć bardzo dobrze się zapowiadał. Gdy po dudniących metalowych schodach zszedł do holu, drzwi windy otworzyły się nagle i ktoś zawołał na cały głos:

- Panie Sully! Proszę zaczekać chwilę. Muszę z panem porozmawiać.

Wołanie rozległo się echem w obszernym wysokim holu.

O rany, Maggie Sanders deptała mu po piętach.

*Jennifer Drew*

Kiedy odwiedził ją w wydawnictwie, coś knuła i najwyraźniej mocno kombinowała, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Mniejsza z tym. Nie zamierzał się interesować jej problemami. Dlaczego małe, śliczne kobietki zawsze uważają, że musi ratować je z opresji? Powinny same sobie radzić. Dawno temu postanowił, że jego kobieta będzie twarda, samodzielna i niezależna jak babcia Córa.

Nie chciał wyjść na zupełnego gbura, więc odwrócił się i powiedział chłodno:

- Przepraszam, ale bardzo się spieszę. Mam umówione spotkanie.

Nie kłamał. Czekala na niego babcia, a cierpliwość nie była jej główną zaletą.

- Zajmę tylko minutkę. Odprowadzę pana do samochodu.

Już miał rzucić kolejną wymówkę, ale popełnił błąd i popatrzył Maggie prosto w oczy... cudowne, piwne, niemal czarne... zasnute łzami. Miał nadzieję, że nie jest płaksą. Nie znosił płaczących bab, a często miał z nimi do czynienia, bo zadufane w sobie początkujące turystki bały się własnego cienia. To był jeden z minusów zawodu przewodnika.

- Proszę bardzo, o ile zdoła pani dotrzymać mi kroku - mruknął w nadziei, że ją zniechęci.

- Na pewno - odparła zdyszana. - Pewnie zastanawia się pan, co się u nas dzieje.

- To nie moja sprawa.

Marzył tylko o tym, żeby się od niej uwolnić zamiast słuchać wyjaśnień, lecz machinalnie ot-

## *Autor pilnie poszukiwany*

25

worzył przed nią drzwi. Dostał punkt za dobre wychowanie.

Zaparkował cztery przecznice dalej, więc miał do przejścia spory kawałek. Maszerował dość szybko, starając się nie patrzeć na urodziwą panią redaktor. I co z tego? Wcześniej dobrze się jej przyjrzał i sporo zapamiętał. Miała jasną cerę typową dla osób rzadko przebywających na świeżym powietrzu, co w jego przypadku oznaczało punkty karne. Tym razem był łagodniejszy w sądach, bo Maggie nie przesadzała z makijażem, a rumieńce na policzkach sprawiały wrażenie naturalnych. Gęste, ciemnobrązowe włosy sięgały ramion. Nosiła je wsunięte za uszy, ale nie miała zwyczaju poprawiać raz po raz, żeby ani jeden kosmyk nie wymknął się stamtąd.

Nadażała za nim, ale dyszała ciężko i z trudem prowadziła rozmowę.

Mimo to był pod wrażeniem, ponieważ utrzymywała tempo, choć była od niego ponad trzydzieści centymetrów niższa. Śmiało podjęła wyzwanie, ale musiała biec, żeby za nim nadażyć.

Podobał mu się jej strój: żółta koszulka polo dyskretnie podkreślająca ładny biust i ciemnozielona spódniczka do kolan. Maggie wyglądała efektownie, lecz nie wyzywająco. Dziewczyna z klasą. Przeczucie podpowiadało mu, że będą z nią kłopoty.

- Chodzi o to, że jestem autorką przewodników z serii „Wyprawa w nieznane”.

- Wiem. Ann wspomniała mi o tym.

*Jennifer Drew*

- Jest najlepszą przyjaciółką mojej mamy. Starsza siostra nosi jej imię... ale to dla nas mało ważne. Widzi pan, mój szef sprzedaje firmę Pierpontowi, który jest właścicielem wielkiego koncernu wydawniczego.
- Pierpont to ten głupek z modnym zegarkiem?
- Aha. Nowy właściciel chce zwiększyć sprzedaż moich przewodników, więc zaplanował trasę promocyjną.
- Tak się teraz robi - odparł Mark, przechodząc na drugą stronę ulicy.
- Mógłby pan trochę zwolnić? - spytała zgryźliwie.
- Tutaj? - odciął się, szerokim gestem wskazując samochody nadjeżdżające z obu stron.
- Tam. - Ruchem głowy pokazała chodnik. - Sam pan rozumie, że nie mogę jechać w trasę i promować książki - oznajmiła, przekrzykując warkot silnika skracającej ciężarówki, gdy dotarli na drugą stronę ulicy.
- Dlaczego? - spytał zaciekawiony. Maggie dopięła swego!
- Proszę na mnie popatrzeć! - jęknęła rozpaczliwie. Usłyszał z przyjemnością.

Bardzo przyjemny widok. Naturalne brwi, spiczasty podbródek, twarz w kształcie serca, śliczna cera. Maggie Sanders nie była klasyczną pięknoscią, ale miała w sobie to coś. Mark zawsze lubił filigranowe panny o ładnych buziach, ale tym razem postanowił zachować dystans, bo przeczuwał, że wpakuje się w kłopoty.

### ***Autor pilnie poszukiwany 27***

- Czy ja wyglądam na przewodniczkę, która jest za pan brat z dziką przyrodą?

Mark bez słowa wzruszył ramionami. Gdyby chciała uczestniczyć w trudniejszych jego wyprawach, pewnie by odmówił.

- Czy uwierzyłby pan, że te ręce trzymały maczetę podczas marszu przez dżunglę albo obdzierały ze skóry upolowaną wiewiórkę, żeby ugotować z niej gulasz? - Skrzywiła się i wyciągnęła przed siebie wypielegnowane łapki. - Czy brzmi to prawdopodobnie, gdy mówię, że stoi przed panem M. S. Stevens we własnej osobie?

- Napisała pani te książki, prawda? Zbiła go z tropu, więc się zirytował.

- Tak. Przeprowadziłam kwerendę w bibliotekach i w Internecie, a potem sprawdziłam wszystko, rozmawiając z ekspertami. Teoria to moja specjalność.

- Aha.

- Niech się pan tak nie mądrzy. Jestem dobrą pisarką i nie wciskam kitu. Wszystkie szczegóły omówiłam ze specjalistami.

Ruszył do samochodu, ale chwyciła go za ramię. Musiał zatrzymać się albo brutalnie wyrwać je z uścisku. Zarumieniła się, gdy spojrzał wymownie na jej zaciśniętą dłoń.

- Do czego pani zmierza? Naprawdę muszę już jechać.

- Ci ludzie czekający w holu to w większości studenci szkoły aktorskiej. Pan Granville życzy sobie, żebym wynajęła kogoś do roli autora. Ta

*Jennifer Drew*

osoba będzie zamiast mnie uczestniczyć w trasie promocyjnej organizowanej przez nowego właściciela.

- Aha.

- Pan znowu to samo! Mój szef wbił sobie do głowy, że pana wynajęłam. Co gorsza, Peter Pierpont uważa, że pan to M. S. Stevens, chociaż ja napisałam przewodniki.

- Niech pani odkręci wszystko i sama jedzie w trasę. Pani nowy szef będzie podpisywał listę płac. Wkrótce odkryje, kto ukrył się pod wiadomym pseudonimem.

- Nie mogę jechać - odparła, spuszczać oczy.

- Dlaczego?

- Nie chcę! Przerażają mnie publiczne wystąpienia. Boję się mikrofonu. Podpisując książki, czułabym się jak idiotka. To nie dla mnie. Chciałabym zatrudnić pana jako swego zastępcę.

Wybuchnął śmiechem i natychmiast tego pożałował. Mówiła serio, więc powinien z należytą powagą traktować jej ofertę, bo inaczej zacznie ronić łzy.

- Pan idealnie pasuje do tej roli - przekonywała. - Jakie są pańskie plany na lato? Szykują się jakieś wyprawy w dzikie ostępy?

- Nie. Chwilowo wychodzę z branży. Sprawy rodzinne.

- O, pan jest żonaty? - spytała.

- Nic z tych rzeczy. A pani ma męża? - Nie wiedzieć czemu bardzo go to interesowało.

- Nie, ale...

### ***Autor pilnie poszukiwany 29***

- W takim razie jako kobieta bez zobowiązań sama może pani jechać w trasę. Wcale nie jestem pani potrzebny.

- Moje książki przynoszą wydawnictwu spory dochód. Honorarium byłoby wysokie.

- A konkretnie? - zapytał odruchowo. Pieniądze nie były dla niego najważniejsze, ale

w tym wypadku... Ewentualnie mógłby się nad tym zastanowić.

Chwileczkę, co mu chodzi po głowie?

- Nie! - powiedział bardziej do siebie niż do niej. Jak mógłby włóczyć się po kraju, udając autora cudzej książki? Sam pomysł był idiotyczny.

- Jeśli pan się nie zgodzi, Pierpont zapewne nie sfinalizuje transakcji, a wtedy zmarnowana zostanie jedyna szansa, żeby firma przetrwała, gdy pan Granville przejdzie na emeryturę. Mój szef ma już swoje lata.

Wydawnictwo to jego dzieło życia i największy sukces. Nie może zniknąć z rynku!

Westchnął głęboko i zajrzał jej w oczy. Żadnych łez. Punkt dla niej.

Maggie w końcu wymieniła kwotę, a Mark osłupiał.

- Poważnie? Czego pani żąda za tę sumę? Duszy, ciała, siedmiu lat całkowitego posłuszeństwa?

- Ależ skąd! - zachichotała. Pewnie jej ulżyło, bo zmiękł.

- Przemyślę pani ofertę - mruknął niechętnie i poszedł dalej.

- Ile czasu to panu zajmie? - zapytała, nie dając za wygraną.

- Proszę czekać, aż podejmę decyzję.



**30**

***Jennifer Drew***

- Zdaży pan do jutra?

Trudna przeciwniczka. Tego się nie spodziewał.

- Proszę nie naciskać - rzucił ostrzegawczym tonem.

- Mogłabym jutro do pana zadzwonić?

- Mój numer: 555-2626

- Nie zapomnę - obiecała z uśmiechem, wręczając mu swoją wizytówkę.

- Nie ma pani innego wyjścia.

Odszedł, nie oglądając się, chociaż czuł na sobie jej wzrok.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Babciu, już jestem! - zawołał Mark, wchodząc do domu Cory Sully, stojącego samotnie w środku lasu.

Starsza pani najczęściej zostawiała drzwi otwarte, ale miała Sabę, podstarzałą suczkę collie, która przenikliwym szczekaniem sygnalizowała każdą wizytę, doskonale zastępując dzwonek.

- Hej, pamiętasz mnie, Saba?! - zawołał, podsuwając jej rękę pod nos. Suczka obwąchała mu palce, a następnie polizała je.

Pogłaskał wąski łebek. Saba przez cały dzień biegała po lesie, lecz myła się starannie niczym kot, więc gęsta sierść była idealnie czysta.

- Pamięta cię. Jakżeby mogła zapomnieć? - powiedziała gderliwym tonem Gora, wchodząc do sie-

*Jennifer Drew*

ni przecinającej dom. - Jak na psa, jest starsza ode mnie, lecz nadal bystra. Ja też nie narzekam. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

Babcia nigdy nie lubiła uścisków i całusów, ale Mark podszedł bliżej i cmoknął ją w pomarszczony, ogorzały policzek.

- Jak twój nadgarstek? - zapytał, choć był świadomy, że nie będzie z tego zadowolona. Chciał to mieć za sobą.

- Nic takiego. Doktor Ross założył gips. Nie uwierzył, że będę przez trzy tygodnie nosiła tę jego szynę. Można ją w każdej chwili zdjąć. Nie ufa mi, stary drań. Ciekawe, czemu jego ojciec musiał przejść na emeryturę, chociaż miał zaledwie siedemdziesiąt jeden lat. Mniejsza z tym. Jesteś głodny? - zapytała. - Zaraz będzie obiad. Upiekłam babkę ziemniaczaną. Dlatego w całym domu tak pachnie przyprawami! Wypieki Cory Sully miały wyjątkowy posmak, bo używała pieca opalanego drewnem.

- Umieram z głodu. Jak zrobiłaś ciasto jedną ręką?

- Złamałam tylko nadgarstek. Nie rób ze mnie inwalidki! - odburknęła. Mark chciał nakryć do stołu, ale przegoniła go z kuchni, wymachując drewnianą łyżką. Gdy jako mały chłopiec spędzał u niej wakacje, w podobnych sytuacjach obawiał się, że naprawdę oberwie.

Wyszedł na werandę i usiadł na krześle z litego drewna, nadzwyczaj wygodnym jak wszystkie sprzęty zrobione przez jego dziadka. Pan Sully robił

## *Autor pilnie poszukiwany*

33

meble nie tylko do domu, lecz także na zamówienie. Chętnie brał je w komis pewien kupiec z Pitts-burgha. Problem w tym, że dziadek Marka zbyt długo cyzelował swoje meble, więc mimo wysokich cen i sporego popytu nigdy się na nich nie dorobił.

Cora Sully postawiła na stole tacę z domowym chlebem, miseczkę konfitur z czerwonej borówki, wazę pachnącego rosołu i babkę ziemniaczaną. Wyglądała jak leśny elf ubrany w spłowiałe dżinsy i bordowy sweter. Pokroiła chleb, przytrzymując bochenek łokciem. Siwe włosy miała zaplecione w długi warkocz. Na trójkątnej, drobnej twarzy dominował wielki nos, a odstające uszy przywodziły na myśl ciekawskiego nietoperza o spiczastej mordce. Cora nie była urodziwa, ale Markowi zawsze wydawała się najpiękniejsza na świecie.

- Ten skunks Oliver Bronson znowu mnie nachodzi - powiedziała, stawiając przed Markiem talerz rosołu. - Chce zagarnąć moją ziemię i zbudować tu luksusowe domiska dla mieszczuchów. Nazywa ich miłośnikami natury - dodała z pogardą. - Po moim trupie! Wyczyszczę dziadkową strzelbę i tak go postraszę, że narobi w gacie.

- Pogadam z nim - obiecał Mark, odgryzając kęs wyjątkowo smacznego razowca. - Babuniu, uwielbiam twój chleb - jęknął z zachwytem.

- Upiekłam ci kilka bochenków. Zabierzesz je, gdy będziesz wyjeżdżał. Babcia nie była głupia i słusznie podejrzewała, że przyjechał, aby się nią opiekować.

- Chyba zostanę na dłużej.

*Jennifer Drew*

- Co z twoją pracą? - spytała podejrzliwie.

- Firma padła.

Zwinęli się i ślad po nich zaginął, nim zapłacili mu za ostatni spływ rzeką Kolorado, ale nie zamierzał informować o tym babci. Gdyby zdecydował się na budowę przyzwoitego domu, byłby spłukany. Mimo woli pomyślał o ofercie Maggie. Do diabła, nie mógł przecież dla forsy udawać autora poczytnych książek! Mniejsza o wysokość honorarium.

- Zastanawiam się, czy nie zbudować domu na działce, którą zostawił mi dziadek - powiedział, zanurzając łyżkę w rosole, który na całym świecie nie miał sobie równych.

- Po co?

- Babciu, stuknęła mi trzydziestka. Najwyższy czas mieć własny kąt i mieszkać jak człowiek między wyprawami.

Usiadła po drugiej stronie stołu i wydeła usta, zastanawiając się nad jego słowami.

- To brzmi sensownie.

- Pojadę do miasta i zapytam w składzie materiałów budowlanych, ile by kosztowało drewno. Wybierzesz się ze mną?

Doskonale wiedział, że taka przejażdżka nie jest dla jego babci żadną atrakcją, ale chciał jej dać do zrozumienia, że całkiem poważnie myśli o budowie domu.

- Nie zamierzam się stąd ruszać. Za stara jestem na jeżdżenie do miasta.

- Jak się sprawuje telefon komórkowy?

## *Autor pilnie poszukiwany*

35

Ojciec Marka zmusił matkę do przyjęcia tego prezentu, gdy skończyła siedemdziesiąt pięć lat. Telefon był wprawdzie powodem ciągłych sprzeczek, ale gdy Cora spadła z dachu, umożliwił jej natychmiastowe wezwanie pomocy.

- Cholerny wynalazek. Ten skunks Bronson wydzwania do mnie co miesiąc.

- Pogadam z nim - zapewnił powtórnie Mark, choć zdawał sobie sprawę, że największym zagrożeniem dla jej niezależności jest przesadna troskliwość najbliższej rodziny.

Ojciec Marka, który po przejściu na emeryturę łączył hobby z zarobkowaniem, sprzedając jachty, namawiał matkę, żeby przeniosła się do niego na Florydę. Todd, brat Marka i wzięty prawnik, także zachęcał babcię do przeprowadzki, głównie dlatego, że koło łowieckie, do którego należał, chciało kupić jej ziemię i urządzać tam ekskluzywne polowania. Szwagierka Cory, która nie rozumiała, jak Charles, jej brat, mógł przez tyle lat tkwić w leśnej głuszy, sugerowała, żeby na stare lata zamieszkały razem w mieście. Tylko Mark rozumiał, dlaczego babcia nie chce opuścić domu, który budowała z mężem własnymi rękami.

- Gdybyś nie miała komórki, jak byś do mnie dzwoniła? - przekonywał babcię do zdobyczy techniki.

Starsza pani odczuwała taką potrzebę średnio raz na rok.

- Byłam zdumiona, że nie włączysz się akurat po Nowej Zelandii albo innych zakazanych

*Jennifer Drew*

miejscach - odparła pochylona nad talerzem z niewielką ilością rosołu. Cała rodzina powtarzała zgodnie, że za mało je i owo twierdzenie nie było bezpodstawne.

- W tym roku nie mam w planie zagranicznych wypraw. Pamiętasz? Zawsze lubiłem tu przyjeżdżać. Nikt inny poza wami nie pozwoliłby mi zjechać na rowerze z wysokiej góry.

- Straszny był z ciebie rozrabiaka - narzekała babcia, ale uśmiech dowodził, że uwielbia wnuka nawet za młodzieńcze wybryki.

- Gdyby nie ty i dziadek, wyrósłbym na mięczaka.

- Ależ skąd! Zawsze lubiłeś wyzwania i chętnie przebywałeś na świeżym powietrzu. Masz to w genach, choć twój tata wdał się chyba w Billa, mojego stryjecznego dziadka, który mieszkał nad swoim sklepem, więc zdarzało mu się przez cały rok nie opuścić budynku.

- Babciu, nie gniewaj się, że pytam - zaczął ostrożnie Mark. - Starczyło ci forsy na leczenie? Zapłaciłaś wszystkie rachunki?

- Mam przecież ubezpieczenie.

- Pokryło wszystkie wydatki?

- Prawie. - Cora wstała i głośno odstawiła talerz, choć prawie nie tknęła rosołu.

- Tata kupi ci dodatkowe ubezpieczenie, jeśli mu na to pozwolisz.

- Nie ma sensu wyrzucać pieniędzy w błoto. W ubiegłym miesiącu sprzedałam dywanik za siedemdziesiąt pięć dolarów. Ludzie jak głupi płacą

*Autor pilnie poszukiwany*

37

teraz krocie za rzeczy, które mogliby zrobić sami, gdyby nie byli tacy leniwi. No, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo dzięki nim sama płacę swoje rachunki.

Mark postanowił skontaktować się z doktorem Rossem i bez porozumienia z ojcem uregulować wszystkie należności. Lepiej trzymać język za zębami, bo inaczej babcia będzie zmuszona wysłuchać kolejnej tyrady wszechwiedzącego syna. Liczył się z tym, że zostanie wytargany za uszy, jeśli babcia odkryje, że wtrącił się w jej sprawy. Trudno jest pomagać osobie, która chce być samodzielna i samowystarczalna.

Uwielbiał swój żywot koczownika żyjącego z niebezpiecznych wypraw, ale babcia nie mogła mieszkać tu nadal całkiem sama, więc musiał się do niej dostosować. Pora stawić czoło kolejnemu wyzwaniu.

Sięgnął do kieszeni po wizytówkę Maggie Sanders i wystukał numer Domu Wydawniczego Granville.

Magie poprawiła włosy, nerwowo podciągnęła obcisłe spodnie w kolorze limonki i wygładziła sweterek tej samej barwy. Rayanne twierdziła, że w tym stroju niezła z niej laska, ale Maggie żałowała teraz, że nie ma na sobie klasycznego garnituru, a na głowie siwej peruki. Przez te wątpliwości dotyczące stroju czuła się wyciśnięta jak cytryna... a raczej jak limonka. Co jej strzeliło do głowy, żeby na ważne spotkanie ubrać się na zielono? Może



*Jennifer Drew*

dlatego, że to kolor nadziei? Pewnie łudziła się, że olśniony neonową zielenią Mark Sully da się namówić i od razu podpisze umowę.

Umówiła się z nim na obiad w ulubionej kafeterii. Czas mijał, a jego nie było. Spóźniał się. Stali klienci sympatycznej właścicielki kończyli posiłek i wychodzili. I dobrze, bo jeśli oporny kontrahent raczy się wreszcie zjawić, nie będzie problemu ze znalezieniem wolnego stolika.

- Kochanie, zarezerwowałam dla pani stolik w rogu sali - zagadnęła właścicielka imieniem Deanna. - Chce pani tam usiąść?

- Dzięki. Czekam na... - Omal nie powiedziała, że wypatruje znajomego. - Na kontrahenta. Mamy negocjować warunki umowy - dodała pośpiesznie.

- Trzymam dla pani ten stolik - zapewniła Deanna. W jej lokalu stali klienci mieli rozmaite przywileje, a Maggie należała do ich grona.

Umierała z głodu. Rano była tak zdenerwowana dzisiejszym spotkaniem, że nie zdołała nic przełknąć. Łakomie spoglądała na stojący w szklanej gablocie kawałek ciasta cytrynowego z kremem i owocami. Ślinka ciekła jej do ust na samą myśl o pysznościach serwowanych przez Deannę.

To jej dało do myślenia. Przez żołądek... do rozumu. Mark Sully będzie jej gościem. Trzeba tak długo karmić go miejscowymi specjałami, aż spuści z tonu i przyjmie jej propozycję. Musiała skorumpować faceta. Na szczęście pan Granville dał jej do dyspozycji spore fundusze, więc idealny kandydat do roli wziętego pisarza mógł się obżerać do woli.

### ***Autor pilnie poszukiwany 39***

Byle tylko przyszedł! Ledwie o tym pomyślała, stanął w drzwiach, a jej serce zaczęło nagle kołatać w sposób wielce podejrzany.

- Przepraszam za spóźnienie - usprawiedliwił się. - Utknąłem w korku.

Nie sądziłem, że wczesnym popołudniem jest taki ruch.

Podeszli do stolika. Mark odczekał, aż Maggie usiądzie, a potem zajął miejsce w wyściełanym narożniku. Deanna natychmiast wręczyła im menu i oznajmiła, że zostaną obsłużeni w pierwszej kolejności.

- Proszę zamawiać wszystko, na co ma pan ochotę - powiedziała Maggie.

- Jesteśmy tutaj na koszt pana Granville'a.

Ale to Maggie ureguluje rachunek...

Mark zerknął na menu, a następnie przez kilka chwil przyglądał się jej tak natrętnie, że odwróciła wzrok, udając, że tego nie widzi. Czyżby miała do czynienia z reliktem przeszłości? Może to jaskiniowiec, który dostaje drgawek, kiedy płaci za niego kobieta?

- Mają tu świetne zrazy - doradziła, spoglądając mu w oczy, błękitne jak niebo w pogodny letni dzień.

Nie ogolił się rano, więc miał na policzkach cień zarostu, który dodawał mu męskiego uroku. Maggie zawsze uważała, że mocno zarysowany podbródek świadczy o sile charakteru. Mark Sully bez wątpienia był człowiekiem stanowczym, co nie ułatwiało negocjacji, choć potwierdzało jej prywatne opinie na temat ludzkich charakterów oraz

*Jennifer Drew*

fizjonomii. Przyglądała się ukradkiem pociągłej twarzy i gładkim policzkom rozmówcy. Włosy miał potargane, nierównomiernie rozjaśnione palącym słońcem. Kilka jasnych kosmyków opadało mu na czoło.

O Boże, spraw, żeby ten uparciuch przyjął naszą ofertę, pomyślała zdesperowana.

- Czy pani słyszała, co mówiłem? - spytał zirytowany Mark.

- Proszę wybaczyć. Zastanawiałam się, co zamówić.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się kpiąco. Podszedł do nich młodziutki, pogodny kelner

w rozciągniętym T-shircie. Mark zamówił gril-lowaną rybę i warzywa zapiekane z czosnkiem, a Maggie jednego zrazika i pół porcji ziemniaków.

- I cóż, panie Sully... - zagadnęła przyjaźnie, chcąc przejść do interesów

- Jestem Mark. Lepiej mówmy sobie po imieniu, Maggie.

- Zgoda. Mam tutaj niezwykle korzystny projekt kontraktu. - Sięgnęła do wielkiej płóciennej torby i wyjęła plik dokumentów

- Kiedy jechałem do wydawnictwa, spodziewałem się zobaczyć kobietę podobną do Ann Cartwright, a nie taką delikatną osóbkę jak ty.

Delikatną? Mark Sully przekona się wkrótce, że Maggie Sanders potrafi być nieustępliwa i twarda jak skała!

- Omówmy po kolei wszystkie istotne punkty

### ***Autor pilnie poszukiwany 41***

- zaczęła rzeczowo. - Po pierwsze, czy chcesz, żeby reprezentował cię agent?

- Po co?

Aż się wzdrygnęła pod jego karcącym spojrzeniem.

- Ten kontrakt może ci na dłuższą metę przynieść spory dochód.

Rozumiem, że twój adwokat doradza, abyś negocjował bez pośredników.

- Chyba powinienem ci uświadomić, że nie interesują mnie długoterminowe zobowiązania.

- Jestem tego świadoma. Upoważniono mnie do podpisania rocznego kontraktu. Nowy właściciel zdecyduje, czy będzie chciał go przedłużyć.

- Mam przez cały rok udawać, że jestem tobą?

Czuła, jak narasta w nim niechęć. Trzeba omówić rzecz od podstaw, bo lada chwila dojdzie do zerwania negocjacji.

- Ależ skąd! Będziesz tylko występować jako M. S. Stevens, przewodnik i specjalista od turystyki ekstremalnej, co nie powinno być dla ciebie trudne, bo zajmujesz się tym zawodowo, a ja tylko opisuję takie wyprawy.

Będziesz wiedział z góry, ile spotkań przypada na cały rok. Zwykle odbywają się w weekendy. Chcesz się zapoznać z tym projektem?

Ostrożnie podsunęła mu kontrakt. Przeczytał go pospiesznie, zachowując kamienną twarz. Nie miała pojęcia, czy to dobrze, czy źle.

- Postawmy sprawę jasno - odezwał się w końcu, spoglądając na paragraf określający zasady płatności. - Dostanę tyle forsy, jeśli karnie pojedę tam,

*Jennifer Drew*

gdzie wyśle mnie wydawnictwo. W kontrakcie zostanie jednoznacznie określone, ile ma być tych podróży. Robota lekka, łatwa i przyjemna, a pieniądze... Sporo tego.

Maggie także była zdania, że pan Granville okazał się wyjątkowo szczodry.

- Dolicz niewielki procent od ceny każdego sprzedanego egzemplarza. Większość spotkań autorskich planujemy na wschodnim wybrzeżu. Pracujemy nad harmonogramem. W przerwach między nimi jesteś wolny i możesz robić, co ci się podoba.

- Cholera! Wkurza mnie to wszystko! - Zareagował tak gwałtownie, że straciła nadzieję. Czyżby oczekiwał wyższego honorarium?

- To bardzo korzystna oferta... - zaczęła rzeczowo.

- Nazbyt korzystna! - przerwał bezceremonialnie. - Byłbym głupcem, gdybym ją odrzucił.

Ukradkiem odetchnęła z ulgą, prawie nie zwracając uwagi na kelnera, który właśnie stawiał przed nimi ogromne talerze. Była tak zdenerwowana, że wątpiła, czy zdoła przełknąć choćby kęs.

- Zgadzasz się? - spytała słabym głosem.

- Muszę to jeszcze przemyśleć.

- Zauważyłeś paragraf, w którym zobowiązujesz się pomóc mi w zbieraniu materiału do następnej książki? Dostaniesz za to dodatkowe wynagrodzenie płatne od każdej przepracowanej godziny.

- Wiem, czytałem.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby pomóc mi trochę w pisaniu następnej książki?

- Mów jaśniej.

## *Autor pilnie poszukiwany*

43

Zabrał się do jedzenia z taką miną, jakby perspektywa odgrywania roli wziętego autora oraz funkcja konsultanta była dla niego równie przyjemna jak wizyta u dentysty.

- Opowiesz mi o swoich przygodach i doświadczeniach, a ja opiszę je w następnym przewodniku. Chcę się od ciebie nauczyć wszystkiego, co zechcesz mi przekazać.

- Wszystkiego? - powtórzył z kpiącą miną. - Naprawdę? Jak blisko mamy współpracować?

Za dużo sobie pozwalała! Żałowała teraz, że podjęła się z nim negocjować. Szef sam powinien się tym zająć. W ustach Sully'ego każde słowo stawało się dwuznaczne i brzmiało jak wyzwanie. I te jego spojrzenia! Wielu facetów rozbiera dziewczyny wzrokiem, ale tylko przy nim miała ochotę rzeczywiście wyskoczyć z ciuchów.

- Wszystko jest zapisane w kontrakcie - odparła ze złością, bardziej zirytowana swoją reakcją niż jego słowami.

- Przeczytam go powtórnie i dam ci znać.

- Świetnie. Mam nadzieję, że wkrótce się do mnie odezwiesz.

Tak, pomyślała z wściekłością, trzymaj mnie w zawieszaniu, łobuzie!

Przecież wiesz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko o tobie myśleć.

- Zapewne.

- Jutro? - Nie zaszkodzi go przyszpilić.

- Czekaj cierpliwie, aż podejmę decyzję. - Wytarł usta dużą papierową serwetką.

- Zrozum, to dla nas bardzo ważne. Trzeba jak

*Jennifer Drew*

najszybciej opracować plan spotkań autorskich i zgrać wszystkie szczegóły. - Odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na jego usta.

- Sama się tym zajmujesz?

- Będę nadzorować pracę zespołu. - Nie wiedziała jeszcze, jakie przypadną jej obowiązki, gdy Pierpont przejmie wydawnictwo, ale nie zamierzała mówić o tym Markowi.

- Pojedziesz w trasę?

- Jeszcze nie wiadomo. Pracowników jest u nas niewielu, a roboty mnóstwo.

- Jeśli zgodzę się, żebyś mnie rzuciła molom książkowym na pożarcie, spodziewam się, że dotrzymasz mi towarzystwa.

- Nie sądzę, żeby takie były intencje pana Gran-ville'a.

Sama z pewnością nie zamierzała włączyć się z nim po kraju.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zadzwoniła komórka Marka, który uśmiechnął się przepraszająco i odebrał.

- Mark Sully, słucham.

Milczał przez chwilę, słuchając uważnie.

- Szkoda nerwów. Zajmę się tym w drodze do domu. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał. Masz na to moje słowo.

Natychmiast przerwał połączenie.

- Najważniejsza kobieta mojego życia - oznajmił, uśmiechając się łobuzersko. - Dzięki za obiad. Zadzwonię.

Wziął ze sobą korzystny kontrakt i opuścił jadłodajnię, nie oglądając się ani razu.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

- Czy ten facet podpisał już kontrakt? - zapytał pan Granville, stając w drzwiach gabinetu Maggie.

Był piątkowy poranek. Wiekowy szef bardziej niż kiedykolwiek przypominał dziś dziewiętnastowiecznego angielskiego kamerdynera. Starannie utrzymana siwa broda dotykała sztywnego kołnierzyka białej koszuli ozdobionego dyskretnym węzłem ciemnego krawata. Pan Granville miał na sobie grafitowy garnitur w dyskretne prążki, a w kieszonce kamizelki złoty zegarek z dewizką.

- Przykro mi, jeszcze tego nie zrobił - odparła Maggie przepraszającym tonem, choć nie poczuwała się do winy. Jej szef sam narobił zamieszania, przez pomyłkę biorąc Marka za kogoś innego.

- Proszę mu powiedzieć, żeby się pospieszył.



*Jennifer Drew*

Od jego spotkania z Pierpontem minęło dobre kilka dni. - Trzeba uświadomić temu uroczemu młodzieńcowi, że nie ma na co czekać. Niech go pani bardziej przycisnie - doradził szef, zamykając drzwi jej gabinetu.

Łatwo powiedzieć! Maggie nie mogła skontaktować się z Markiem, choć wielokrotnie dzwoniła do niego. Może wyłączył komórkę? Nie miała jego adresu. Gdyby nie pilny telefon od tej jego pani, zapewne podczas roboczego obiadu udałoby się od razu podpisać dokumenty. Niestety, przez tamtą żołą Maggie została na lodzie. Na samą myśl o tym robiła się zła, rozzalona i... zazdrosna.

Chwileczkę! Mark Sally nie był w jej typie. Gdyby chciała poderwać faceta, z pewnością nie wybrałaby przerośniętego harcerzyka, który zamiast poważnie myśleć o życiu urzędu marsze na orientację dla podobnych sobie idiotów, którym marzy się kontakt z dziką przyrodą. Usiadła przed komputerem i położyła dłonie na klawiaturze. Była mistrzynią świata w szukaniu informacji, więc jeśli się postara, znajdzie Marka Sully'ego i nawiąże z nim kontakt.

Godzinę później wpatrywała się w ekran przygnębiona i osowiała. Wszystkie tropy wiodły donikąd. Pracodawcy Marka zwinęli interes i zwiali, starannie zacierając za sobą ślady. Rozpaczliwe poszukiwanie Marka Sally'ego doprowadziło ją do punktu wyjścia.

Nagle przypomniała sobie o Ann Cartwright, która najwyraźniej była z nim na tyle zaprzyjaźniona, że mogła go prosić o przysługę. Może wie,

### ***Autor pilnie poszukiwany 47***

gdzie go szukać? Niestety, w bazie danych nie było jej numeru. Maggie daremnie próbowała uzyskać go w informacji. Był zastrzeżony.

Nie dodzwoniła się do rodziców, którzy po przejściu na emeryturę kupili samochód z mieszkalną naczepą i włączyli się po całym kraju. Mieli wprawdzie komórki, ale je wyłączali albo zapominali naładować baterie. Gdzie znaleźć namiary Ann? Maggie postanowiła zadzwonić do Laurie, swojej młodszej siostry, która nadal mieszkała w rodzinnym domu w Beaumont w Wirginii Zachodniej. Pisała romanse, organizowała aukcje dobroczynne, a w wolnych chwilach zajmowała się tresurą psów. Maggie podśmiewała się z siostrzyczki, wyższej o dziesięć centymetrów z okładem, a duchem młodszej ze dwadzieścia lat. Chętnie wypytywała Laurie, jak posuwa się proces odnajdywania samej siebie, żeby potem kpić dobrotliwie z wywodów smarkuli.

Jej telefon obudził Laurie.

- Odbiło ci? Wiesz, że moja muza jest sową i sprowadza twórczą wenę tylko w nocy - oburzyła się zaspana Laurie. - Rany boskie, która godzina? Dochodzi południe! Jak można budzić mnie o tej porze!

- Przestań się pieklić, śpiąca królowo. Mam do ciebie prośbę. Chodzi o maleńką przysługę - tłumaczyła pogodnie Maggie.

- Tylko nie mów, że mam coś wysłać pocztą! Dwa lata temu Maggie chciała odzyskać pozostawiony w domu płaszcz, więc poprosiła siostrę,

*Jennifer Drew*

żeby nadała paczkę. Laurie do dziś nie ochłonęła po traumatycznym przeżyciu, jakim było dla niej szukanie pudła, pakowanie zapomnianego ciucha, oklejanie kartonu taśmą, adresowanie oraz transport paczki do urzędu pocztowego.

- Sprawa jest prosta - zapewniła Maggie uspokajającym tonem. Potrzebny mi numer telefonu Ann Cartwright. Jest zastrzeżony, ale wiem, że mama wpisała go do zielonego notesu, który leży w lewej górnej szufladzie jej biurka.

- Na pewno wzięła notes ze sobą. Niepotrzebnie zawracasz mi głowę - jęknęła Laurie, która po przebudzeniu zawsze była ponura, marudna i nieskora do pomocy.

- Moim zdaniem został w biurku - przekonywała cierpliwie Maggie, która знаła młodszą siostrę jak zły szeląg i umiała z nią postępować. Laurie była kochana, ale miała swoje humory.

- No dobra, już idę.

Żeby nie tracić czasu, Maggie sprawdziła pocztę elektroniczną, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Laurie potrzebowała kilku minut, żeby doczłapać do matczynego biurka.

- Mam! - zabrzmiał w słuchawce jej głos. Była całkiem rozbudzona, wprost tryumfująca. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, po co chcesz dzwonić do Ann. Ona mnie przeraża.

- Nie mów głupstw. Masz dwadzieścia pięć lat, najwyższy czas pozbyć się tych idiotycznych fobii. Ann nie ma dzieci, więc próbuje nam czasami matkować, ale szybko ją to nudzi. Daj mi jej numer.

### ***Autor pilnie poszukiwany 49***

Minęło jeszcze dziesięć minut, nim Laurie znalazła odpowiednią stronę w notesie. Poplotkowały trochę o rodzinie i Maggie odłożyła słuchawkę. Mogła wreszcie zadzwonić do Ann. Miała szczęście, bo zapalona podróżniczka była w domu.

- Miło cię słyszeć, Maggie! - zawołała. - Tym razem nie szczędziłam ci komplementów. Zamierzam ją opublikować na stronie internetowej naszego klubu podróżników.

Maggie wołała się nie przyznawać, że jeszcze nie zajrzała do recenzji. Gdyby Ann o tym usłyszała, natychmiast odszukałaby wydruk i odczytała wszystko przez telefon.

- Dzwonię, bo...

- Twoja rada dotycząca węży oraz ich ukąszeń strasznie mnie rozbawiła. - Ann wybuchęła gromkim śmiechem. - Pamiętasz, jak zobaczyłaś na podwórku małego wężyka? Potem cały miesiąc bałaś się wychodzić z domu!

- Miałam pięć lat! - oburzyła się Maggie. - A rada jest potwierdzona. Pytałam wojskowych lekarzy i sanitariuszy.

Dość tych pogaduszek, skarciła się w duchu. Przejdź wreszcie do rzeczy.

- Ann, chodzi o tego faceta, którego do mnie przysłałaś...

- Przystojniak, co? Gdybym była trochę młodsza, wiele bym dała, żeby wślizgnąć się do jego śpiwora.

- Ann, możesz mi dać jego namiary?

- Mogę, ale nie wiem, czy powinnam. Tego

*Jennifer Drew*

chłopaka trudno będzie udomowić. Nie ustatkuje się przed kolejnym zlodowaceniem, które nawiasem mówiąc, nastąpi chyba wcześniej, niż oczekiwano, choć tyle się mówi o efekcie cieplarnianym. Zdaniem uczonych mamy do czynienia z dwiema sprzecznymi tendencjami. I tak źle, i tak niedobrze - oznajmiła z satysfakcją Ann. Uwielbiała przepowiadać katastrofy i kataklizmy.

- Pan Sully zostawił coś w wydawnictwie. Chcę mu to odesłać. Daj mi jego adres. Albo numer telefonu stacjonarnego. Zadzwoń, żeby przyjechał po zgubę.

- Co zostawił?

Dociekliwość Ann sprawiała, że nie opłacało się jej okłamywać.

- Kopertę - rzuciła od niechcienia Maggie, świadoma, że nie umie kłamać, więc nie powinna tego robić.

- Jest do niego zaadresowana?

- Nie. To zwykła brązowa koperta.

- Otwórz ją. Sprawdź, czy to ważne - radziła Ann.

- Chyba żartujesz. Nie mogę! - Mówiła prawdę. Nie było przecież żadnej koperty.

- Zgoda. Dam ci namiary Marka, ale muszę ich poszukać. Na pewno mam adres, bo wysyłałam pocztą zdjęcia z naszej pierwszej wspólnej wyprawy. Numer telefonu też się znajdzie. Poczekaj moment!

Odłożyła słuchawkę, nim Maggie zdążyła zaproponować, że później zadzwoni. Po dwudziestu

### ***Autor pilnie poszukiwany 51***

minutach otrzymała potrzebne informacje, ale nie zdążyła zatelefonować, ponieważ była umówiona na obiad z autorką książki o urządzaniu ogrodowych sadzawek i oczek wodnych. Spędziła dwie przemiłe godziny z czarującą, pełną wdzięku damą rodem z Południa, która u siebie w domu nosiła kapelusik ze słomki oraz białe rękawiczki i na co dzień zasiadała do obiadu w jadalni.

Piętnaście po trzeciej pan Granville ponownie zajrzał do jej gabinetu.

- Nasz M. S. Stevens podpisał już kontrakt? - zapytał.

- Nie zdążyłam się z nim skontaktować, ale na sto procent mamy książkę o sadzawkach ogrodowych.

- Dobrze, dobrze, ale Mark Sully jest naszym priorytetem. Trasa promocyjna musi się udać, żeby Pierpont podpisał umowę kupna-sprzedaży - przypomniał i wyszedł.

Maggie wstała, zamknęła za nim drzwi i wystukała otrzymany od Ann numer Marka. Telefon zadzwonił kilka razy, nim jakaś kobieta podniosła słuchawkę.

- Nie sprzedam! Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoją forszę, głupku!

- wrzasnęła nieznajoma.

- Nie wiem... może to pomyłka. Czy jest pan Sully? - zapytała niepewnie Maggie.

- Pan Sully? To dobry numer. - Kobieta wybuchnęła śmiechem. Maggie próbowała na podstawie głosu ocenić jej wiek. Lekko licząc pięćdziesiątka.

- Zastałam go?

*Jennifer Drew*

- Nie.

- Wie pani, kiedy wróci?

- Jak zgłodnieje. Tak myślę. A pani kto? Znajoma?

- Aha, od niedawna.

- Mark łatwo zawiera znajomości. Od dziecka taki był. Jako mały chłopak każdego potrafił sobie urobić. Wszyscy garnęli się do niego. Nadal tak jest.

Maggie z niepokojem pomyślała, że i jej przyjdzie garnąć się do niego. Lepiej unikać takich poufałości.

- Mogę zostawić wiadomość?

- Jasne. Wszystko przekażę. Mów śmiało, moje dziecko. Jestem babcią Marka.

Może ta starsza pani jest kobietą jego życia? Gzy to ona dzwoniła podczas obiadu?

- Proszę pani, nazywam się Maggie Sanders...

- Po co te ceregiele, dziecinko? Jestem Córa Sully. Mówmy sobie po imieniu.

- Byłabym Markowi bardzo wdzięczna, gdyby zechciał do mnie zadzwonić. Podyktuję swój numer...

- A po co? Tyle z tym zachodu. Same kłopoty. Kłopoty to moja specjalność, pomyślała Maggie, zwłaszcza odkąd na horyzoncie pojawił się Mark.

- Naprawdę powinnam z nim porozmawiać - przekonywała zdesperowana. Była na skraju rozpacz.

- To przyjedź na kolację.

- Słucham? - Została zaproszona, ale nie zamierzała się narzucać. To szalony pomysł, żeby jechać do obcych ludzi na kolację.

*Autor pilnie poszukiwany*

53

- Bądź na szóstą... Obiecałam Markowi gulasz z sarniny.

Jak to z sarniny? Mam jeść dziczyznę? - pomyślała zbita z tropu. W jej świecie nie robiło się gulaszu z jelonka Bambi!

- Nie wiem, gdzie pani mieszka.

- Masz pod ręką mapę stanu Pensylwania?

- Tak, ale moim zdaniem...

- Dobra, zapisz sobie wszystkie namiary. Trochę to skomplikowane, bo droga wije się zygzakiem między wzgórzami jak pijany wąż boa.

Gady piją? Maggie miała w głowie lekki zamęt, ale posłusznie wzięła ołówek i na wszelki wypadek zrobiła notatki. Kto wie? Może się przydadzą?

- No to do zobaczenia. - Gora Sully odłożyła słuchawkę.

Maggie zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, żeby pojechać do niej na kolację. Ale czy miała inne wyjście? Nie zanosilo się na to, żeby Mark wkroczył do jej gabinetu, gotowy podpisać wszystkie dokumenty.

Potrzebował chyba dodatkowej zachęty.

Jechać czy nie jechać? Maggie postanowiła odwiedzić Córę i Marka w ich leśnej samotni. Modliła się w duchu, żeby nie złapać gumy.

Droga była okropna: wąska, kręta, biegnąca zakosami po górskim zboczu. Maggie umierała ze strachu, gdy inne auta mijały ją, ścinając zakręty. Dzięki wskazówkom Cory szczęśliwie nie zabłądziła, a kiedy po ostatnim zakręcie dotarła do celu, odniosła wrażenie, że znajduje się w innym świecie. Zaparkowała przed staromodnym wiejskim



*Jennifer Drew*

domem podobnym do rycin z historycznego albumu.

Zabrakło jej odwagi. Niepewnie wysiadła z samochodu, zastanawiając się, czy wejść do środka. Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich stara kobieta z ręką na temblaku.

- Wejdz i czuj się jak u siebie w domu! - zawołała i skinęła na Maggie, która weszła po schodach na werandę. Starsza pani przepuściła ją w drzwiach i uśmiechnęła się tak promiennie, że trudna droga nagle poszła w niepamięć.

- Dziękuję za zaproszenie. To bardzo miłe z pani strony.

- Już zapomniałaś, jak mam na imię? Nie lubię tych ceregieli.

Cora zaprowadziła Maggie do staromodnego salonu z taką kurtuazją, jakby odwiedziła ją prawdziwa księżniczka.

- Jakie ładne kolory! - powiedziała Maggie, zachwycona ciepłą barwą ścian z sosnowego drewna i piaskowymi odcieniami wyplatanych dywaników oraz haftowanych poduszek.

- Sama robię farbki do wełny - powiedziała Cora. Stwierdziła fakt, nie dopominając się o komplementy. - Gdzie poznałaś mojego wnuka, Marka? Jako uczestniczka niebezpiecznej wyprawy?

- Nie, nie! Nie lubię takich rozrywek. Znajoma mojej matki poprosiła go, żeby wpadł do mojego biura i oddał mi przesyłkę. Gdzie on jest?

- Wkrótce się zjawi. Usiądź wygodnie. Muszę pomieszać gulasz.

*Autor pilnie poszukiwany*

55

- Mogę w czymś pomóc?

Przez moment Cora sprawiała wrażenie, jakby poczuła się urażona tą uwagą.

- Sama daję sobie radę - oznajmiła. - Ten cholerny temblak to głupstwo. Nie daj się zwieść. Potrafię zrobić wszystko, choć z naprawą dachu miewam problemy.

- Jeśli znowu wleziesz na dach, spętam cię jak konia i odstawię do taty na Florydę - wtrącił z udawaną surowością Mark, stając w drzwiach.

Popatrzył na gościa. - Nie wiedziałem, że mamy towarzystwo.

Maggie poznała po minie, że nie jest zachwycony jej wizytą.

- Twoja babcia mnie zaprosiła, więc...

- Aha. To było do przewidzenia.

Mówił cicho, czoło miał zmarszczone. W przeciwieństwie do serdecznej babci przywitał ją bardzo chłodno.

- Dlaczego twoja przyjaciółka nie miałyby zjeść z nami kolacji? - powiedziała Cora, z jawną ciekawością obserwując ich bladoniebieskimi oczyma.

- Panna Sanders nie jest moją przyjaciółką - oznajmił takim tonem, że Maggie powinna się pożegnać, wsiąść do auta i odjechać. Skoro tak działała mu na nerwy, jak skłonić go do podpisania kontraktu?

- Zaraz nakryję do stołu - mruknęła Cora. Było oczywiste, że bardziej niż jedzenie ciekawi ją sprzeczka dwojga młodych. Prychnęła z oburzeniem i podreptała w głąb pomieszczenia, do otwartej kuchni.

*Jennifer Drew*

- Nie przywozisz nigdy znajomych do starej babci... - narzekała Cora.
  - Moja babcia jest najważniejsza, więc powinna o tym pamiętać, gdy znów przyjdzie jej ochota zabawić się w swatkę - odciął się Mark.
- Przekomarzali się do bólu, więc Maggie odzyskała względny spokój, lecz nadal wahała się czy wrócić do auta i jechać do domu, czy zostać dłużej i cierpliwie przekonywać Marka do podpisania kontraktu. No proszę! Czyżby Cora próbowała wyswatać ukochanego wnuka? To by oznaczało, że Mark nie ma nikogo na stałe. Oczywiście dla Maggie to bez znaczenia, ponieważ wcale nie była nim zainteresowana. Przyjechała tu załatwić sprawę. Na tym padole nie brak atrakcyjnych blondynów o melodyjnym głosie przyprawiającym dziewczyny o miły dreszcz.
- Chciałam zobaczyć się z Markiem, bo mam dla niego pracę - oznajmiła, bo wydawało jej się, że winna jest córce wyjaśnienie.
- Starsza pani podniosła głowę znad dużego żółtego garnka, w którym mieszała drewnianą łyżką.
- Jaką? - spytała.
  - To posada konsultanta w wydawnictwie, gdzie jestem zatrudniona.
  - Po co wam konsultant? - Cora rozważała jej słowa, a Mark coraz bardziej pochmurniał.
  - Wydajemy przewodniki z opisem ekstremalnych wypraw w nieznane. Potrzebna nam fachowa opinia o ich treści.

*Autor pilnie poszukiwany*

57

- Moje zdanie w tej materii w ogóle cię nie interesuje! Chcesz mnie kupić!  
Mam być tylko na pokaz!

Łyżka upuszczona przez Córeę wpadła do gulaszu. Zaintrygowana staruszka podeszła do Marka, który stał przed Maggie na szeroko rozstawionych nogach, zaciskając dłonie w pięści.

- Co wy kombinujecie? - zapytała z taką miną, jakby miała rozdzielić dwoje uprzykrzonych bachorów.

Maggie zrobiło się wstyd. Uznała, że nie może stąd odjechać, póki nie wyjaśni, dlaczego tak jej zależy na spotkaniu z Markiem. Ubiegł ją i burknął opryskliwie:

- Panna Sanders wzięła się do opisywania trudnych szlaków turystycznych i ekstremalnych wypraw, chociaż nie ma zielonego pojęcia, jak one wyglądają. Dla niej wielkim wysiłkiem jest przejście do samochodu.

Jego słowa, niesprawiedliwe, choć zgodne z prawdą, dotknęły Maggie do żywego. Zerwała się na równe nogi i spiorunowała go wzrokiem.

- Ona chce mnie...

- To mój wydawca chciałby, żebyś dla niego pracował!

Mark westchnął ciężko.

- Proponują, żebym udawał autora przewodników. Mam wziąć udział w trasie promocyjnej, podpisywać te cholerne książki...

- Licz się ze słowami, młody człowieku. Nie życzę sobie, żebyś się tak wyrażał w mojej obecności - skarciła go babcia.

*Jennifer Drew*

- Dobrze płacimy, znacznie więcej niż za niań-czenie bogatych mieszcuchów, którym zachciało się mocnych wrażeń - odparła śmiało Maggie. Podejrzewała, że Mark odmówi dla zasady, nie bacząc na jej argumenty.
- Naprawdę można sporo zarobić na tym udawaniu? - wypytywała Cora, zainteresowana jej wyjaśnieniami o wiele bardziej niż Mark. Zachichotała uradowana, a Maggie jej wtórowała. Śmiały się obie do rozpuku, aż usłyszały pukanie do drzwi.
- Cześć, sąsiadko! - zawołał jakiś mężczyzna. Zirytowana Cora aż podskoczyła ze złości i wrzasnęła na całe gardło.
- Wynoś się stąd, Bronson! - Odwróciła się do Marka. - Dlaczego tu przylazł? Miałeś z nim pogadać.
- Dwa razy byłem w biurze, raz w domu, ale na próżno. Trudno go złapać. Gość bez zaproszenia wszedł do salonu. Maggie ze zdumieniem patrzyła na skrzywioną gniewnie twarz Cory. Miała nadzieję, że staruszka nigdy się na nią tak nie rozzłości.
- Słuchaj uważnie, Oliver - powiedział Mark rzeczowo i dobitnie. - Moja babcia nie ma zamiaru sprzedawać swojej ziemi. Jeśli kiedykolwiek zmieni zdanie, nie omieszka cię o tym powiadomić. Będziesz miał prawo pierwokupu, o ile teraz dasz jej spokój. Zostaw nas samych, jeśli łaska, bo muszę przedyskutować ważny kontrakt z panną Sanders, która pracuje dla Domu Wydawniczego Granville.

*Autor pilnie poszukiwany*

**59**

- Ruchem głowy wskazał Maggie. - Bądź tak dobry i wyjdź.

- Miło mi panią poznać. - Oliver Bronson wyciągnął spoconą dłoń, którą Maggie niechętnie uścisnęła. - Wszystko rozumiem - ciągnął Bronson.

- Wybaczcie, że się wam naprzykrzałem. Inwestorzy wiercą mi dziurę w brzuchu, ponieważ chcieliby tutaj budować. Ale jak nie, to nie. Mówi się trudno. No to zmykam.

- I nie wracaj, bo mam strzelbę męża. Nie zawaham się jej użyć - ostrzegła Cora.

Mark zmarszczył brwi. Co go podkusiło, żeby przy Oliverze wspomnieć o kontrakcie?

Maggie z niepokojem popatrzyła na jego zachmurzoną twarz. Taka mina to zły omen dla negocjacji, pomyślała.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Mark uważnie obserwował nieoczekiwanego gościa. Kawałki sarniny ukradkiem odsunięte na bok... Sprytnie. Cholera, dlaczego ta Maggie jest taka śliczna? Niesforne kosmyki brązowych włosów wystawały zza uszu, choć raz po raz wsuwała je na miejsce. Oczy miały kolor gorzkiej czekolady, a naturalnie różowe usta nie potrzebowały żadnej szminki. Na policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Włożyła dziś obcisłe beżowe spodnie i top z czarnego jedwabiu. Niewielki dekolot ukazywał jasną skórę między piersiami. Ramiona były odsłonięte i nietknięte opalenizną. Była piękna urodą cieplarnianego kwiatu; z pewnością nie w jego typie. Szkoda, że taka z niej ślicznotka. Z brzydulą łatwiej dałby sobie radę.

## *Autor pilnie poszukiwany*

61

- Jak ci smakuje gulasz? - Zastanawiał się, czy jest wegetarianką.
- Pyszny. - Z udawanym zapałem gryzła marchewkę.
- Mięso zostawiasz na później?

Postępował z nią podle, lecz miał powód. Przyjechała tutaj, żeby przewrócić jego życie do góry nogami. Złościła go ta myśl, choć potrzebował oferowanej przez nią posady. Dzięki honorarium mógłby bez trudu pomóc babci i zbudować dom. Mimo wszystko wzdragał się przed tą maskaradą. Nie miał ochoty udawać jak mierny aktorzyzna i podszywać się pod kogoś innego.

- Nie jadam dziczyzny - odparła uprzejmie Maggie.

Gdyby wziął ją w obroty, szybko zmieniałaby zdanie. Wystarczy sześć tygodni z dala od cywilizacji, noclegi pod namiotem oraz wikt tylko i wyłącznie od matki natury, żeby pojęła, jaką naiwnością było pisanie przewodników po najtrudniejszych szlakach turystycznych bez znajomości rzeczy, jedynie na podstawie wiadomości z książek oraz Internetu.

- Domyślam się, że sama nie próbowałaś nigdy alternatywnych źródeł białka, które opisujesz w swoich książkach: dżdżownic, świerszczy - zagadnął kpiąco.
- Skądże! Zrozum, autor nie musi na własnej skórze doświadczać wszystkiego, co opisuje. Ludzie piszą o Marsie, choć nigdy tam nie byli.
- Zjedz kawałek mięsa - upierał się Mark.



*Jennifer Drew*

- Proszę?

- Jeśli chcesz, żebym podpisał kontrakt, musisz spróbować dziczyzny.

Babcia wróciła do stołu z dokładką dla Marka. Postawiła przed nim miseczkę z białej kamionki.

- Niektórzy ludzie nie jadają mięsa - przypomniała.

- Jesteś wegetarianką? - zapytał, spoglądając na Maggie.

- Nie, ale...

- Spróbuj sarniny.

Namawiał ją do jedzenia niczym upartego dzieciaka. Chciał, żeby się wymówiła, bo miałby wówczas pretekst do odmowy i zerwania negocjacji w sprawie kontraktu. Babcia zyskałaby powód do kpin. Gdy ktoś pochopnie marnował sposobność, na przykład do uczciwego zarobku, mawiała, że zachował twarz, ale walnął się własną pięścią.

- Dobrze, spróbuję.

Była wściekła, ale nabrała łyżką kawałek mięsa z krążkiem duszonej cebuli. Już miał powiedzieć, że to jest pyszne, ale oburzona babcia spiorunowała go spojrzeniem, więc ugryzł się w język.

Maggie energicznie poruszała szczękami, ale podejrzewał, że tylko udaje, a kawałek sarniny połknęła w całości.

- Zjadłam! - oznajmiła tryumfalnie.

- I bardzo dobrze. Zasłużyłaś na deser. Zakończyli posiłek musem jabłkowym domowej

roboty pachnącym korzennymi przyprawami.

- Chętnie pomogę zmywać naczynia, ale potem

*Autor pilnie poszukiwany*

63

muszę już jechać - powiedziała Maggie. - Wolałabym dotrzeć do domu przed zmierzchem.

- Słusznie. O szarej godzinie niedźwiedzie wyłazą na żer - drwił Mark, układając w głowie sprytny plan.

- Pogadajcie sobie - zdecydowała babcia. - Nie potrzebuję pomocy.

Maggie zaprotestowała, ale szybko dała za wygraną. Mało prawdopodobne, żeby babunia zdzieliła ją drewnianą łychą, gdyby weszła do kuchni, pomyślał Mark, ale dobrze się stało, że obie panie nie tłoczą się w kuchni, bo mogłoby dojść do krótkiego spięcia. Cora Sully nie tolerowała intruzów na swoim terytorium.

- Chodźmy na werandę - zaproponował Mark.

Maggie podziękowała Córce za kolację i pospieszyła za nim, zabierając torebkę, żeby potem nie tracić czasu, gdy zdecyduje, że pora jechać. Mark uparł się, że zatrzyma ją tu dłużej choćby po to, by udowodnić, że nie można go kupić, ot tak. Do zmierzchu pozostało jeszcze półtorej godziny, więc Maggie raczej nie zabłądzi na górskiej drodze, o ile nie ma zadatków na totalną idiotkę. Z drugiej strony jednak wiedział z doświadczenia, że istnieją ludzie, którzy nie powinni wyściubiać nosa ze swego podwórka. Jeśli Maggie do nich należy, byłoby lepiej, gdyby nie udzielała rad turystom, którym marzą się wielkie wyzwania.

- Ładnie tu - zagadnęła, próbując wciągnąć go do rozmowy.

Nie uszło jego uwagi, że co kilka minut spogląda na zegarek.

*Jennifer Drew*

- Mało kto wie, że w odległości siedemdziesięciu paru kilometrów od Pittsburgha można zobaczyć takie widoki - odparł.

Chętnie omówiłby do końca warunki kontraktu, ale ciekawiło go, w jaki sposób Maggie zacznie rozmowę na ten temat. Jakimi argumentami spróbuje go przekonać, żeby podpisał umowę. Miał dość bezsensownych pogaduszek, więc odetchnął z ulgą, gdy w końcu zmieniła temat.

- Wracając do naszej trasy promocyjnej...

- Jaka jest marszruta?

- Mamy wstępny zarys. Na razie wiemy, że spotkania autorskie odbędą się w Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonie.

- Sama wszystko planujesz? - Oparł się o kolumnkę podtrzymującą dach werandy i patrzył na Maggie spod zmrużonych powiek.

- Nadzoruję układanie harmonogramu. Szczegółami zajmuje się sekretarka pana Granville'a.

- Mam wątpliwości, czy teraz mogę zostawić babcię samą.

Maggie ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jak złamała rękę?

- Spadła stamtąd. - Wskazał palcem dach werandy. - Próbowała wymienić oblużowaną dachówkę. Miała szczęście, że nie skrzyła karku.

- Zapewne - odparła bez przekonania.

- Ty również pojedziesz w trasę? - zapytał.

- Trudno powiedzieć. Decyzja jeszcze nie zapadła. Podróże nie należą do moich ulubionych zajęć.

## *Autor pilnie poszukiwany*

65

- Dlaczego?

- Jestem pechowcem. Kiedy ruszam w drogę, natychmiast zaczynają się kłopoty: burze, powodzie, wypadki, choroby, alergie, ukąszenia owadów... Mogłabym ciągnąć tę listę w nieskończoność.

- Nie wierzę w pecha. - Trochę koloryzował, bo podejrzewał, że Maggie istotnie potrafi sprowadzać kłopoty... albo przynosić szczęście. - Jeśli zdecyduję się ruszyć w trasę, musisz jechać ze mną.

Nie powiedział tego z rozmysłem, ale uwaga była sensowna. Wrobiła go, a zatem powinna dotrzymać mu towarzystwa. Nie miał pojęcia, jak wyglądają spotkania autorskie i podpisywanie książek. Nie był też aktorem. Ktoś powinien mu pomóc w budowaniu postaci M. S. Stevensa. Z drugiej strony jednak przez rok takich występów zarobi tyle samo, co w turystycznej branży. Z przyjemnością myślał, że razem jeździliby po kraju, lecz nadal zżymał się na konieczność podjęcia takiej pracy.

- Nie sądzę, żeby trasa promocyjna wymagała mojej obecności.

- Później zastanowimy się nad tym. Chodź, pokażę ci, gdzie wybuduję dom.

- Naprawdę nie mam czasu.

- Zdążysz wrócić bezpiecznie. Gdyby zrobiło się ciemno, pojedę przodem i doprowadzę cię do autostrady - obiecał.

Chwycił ją za rękę i, nie słuchając wymówek, pociągnął za sobą. Zbiegli po schodach werandy. Na szczęście miała na nogach zwykłe tenisówki.

## 66 Jennifer Drew

Zapewne nie potknęłyby się, idąc o własnych siłach, lecz wolał na wszelki wypadek mocno ścisnąć jej dłoń.

- Puść mnie! - zawołała oburzona.

- Dobra, trzymaj się tylko mojego ramienia. Podłoże jest nierówne. Łatwo o wypadek. Nie dam rady opiekować się dwiema inwalidkami.

- Twoja babcia mimo złamanego nadgarstka świetnie sobie radzi.

- Jasne, o ile nie próbuje wszystkiego robić samodzielnie.

Saba ruszyła za nimi. Mark pozwolił jej wysforować się naprzód. Biegła z nosem przy ziemi, szukając tropów. To była jej ulubiona rozrywka.

Wśród ludzi i zwierząt są asekuranci oraz miłośnicy ryzyka.

- Są tu kleszcze? - zapytała Maggie, gdy szli wąską ścieżką. Tak mocno ścisnęła ramię Marka, że wbiła mu paznokcie w skórę.

- Nie martw się. Na ścieżce ich nie ma. Siedzą na drzewach i wypatrują żywicieli. Potem spadają na nich jak bomby.

- Żartujesz!

- Ty jesteś specjalistką od nieprzetartych szlaków. Nie wiesz, jak jest naprawdę?

Prychnęła ze złością i puściła jego ramię. Zerknął na czerwone ślady po ostrych paznokciach i chwycił jej dłoń.

- No dobra. Trochę przesadzam. Saba jest naszą przewodniczką, więc jedyne realne zagrożenie stanowią dla nas niedźwiedzie.

*Autor pilnie poszukiwany*

67

- Niedźwiedzie! Wiesz co? Naprawdę powinnam wracać.

- Nie przyjadę do twego biura, żeby podpisać kontrakt. Strata czasu.

Oczywiście rano możesz tu wpaść z papierami. Wybieram się jutro do składu materiałów budowlanych, ale jeśli wyjedziesz przed siódmą, na pewno mnie zastaniesz.

- Naprawdę chcesz się budować niedaleko babci?

- Tak. Dziadek zapisał mi ładną działkę. Mam pretekst, żeby zamieszkać blisko niej. Tata chce, żeby wszystko sprzedała. Jego zdaniem powinna przenieść się na Florydę, ale to nie dla niej.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale ścieżka biegnąca pod wysokimi drzewami niewyraźnie majaczyła w głębokim cieniu. Maggie potknęła się o wystający korzeń i opadła na jedno kolano. Zakląła paskudnie, bo na spodniach została brzydka plama. Mark pomógł jej wstać, a potem kucnął i starannie otrzepał zabrudzoną tkaninę.

- Przestań! Sama dam sobie radę! - piekliła się Maggie. - Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Zabawne, wydawało mi się, że oczekujesz mego wsparcia. Dlatego przyjechałaś do babci.

- Nie sądziłam, że będziesz mnie wodził po manowcach.

- Dobra. Możesz wracać. Tylko uważaj na rozwidleniu dróg. Kieruj się w prawo, nie w lewo. Jeśli dojdiesz do strumyka, będziesz wiedziała, że zablądziłaś. No, ale przynajmniej w teorii jesteś specjalistką od wypraw w leśną głuszę.

## 68 *Jennifer Drew*

- Odprowadź mnie natychmiast!

- Idź sama. Ja dziś nie wracam do domu. Czytam pilnie twoje przewodniki. Bardzo mi się spodobał ten fragment, w którym opisujesz życie wielkiej puszczy. Autorka biega za stadem wilków, wypatruje niedźwiedzi...

- Nie zmyślam! Wszystko, co znajdę w Internecie, konsultuję ze specjalistami. Dlatego jesteś mi potrzebny. Tobie czytelnicy uwierzą.

- Aha! Jednak nie poradzisz sobie beze mnie. W takim razie musisz obejrzeć moją działkę.

Ruszyła przodem, mamrocąc pod nosem niewyraźnie. Ścieżka biegła teraz stromo w górę. Przy dość uciążliwym podejściu Mark pomógł Maggie, popychając ją mocno i dotykając sprężystych pośladków.

- Przestań! - Sięgnęła za siebie i odepchnęła jego dłoń.

- Rusz się. Już niedaleko.

Jedyną odpowiedzią był przeciągły jęk. Maggie przyspieszyła kroku i weszła na niewielki płaskowyż. Zbliżył się i objął ją ramieniem. Nie zwróciła na to uwagi.

- Tu jest... - Dyszała ciężko. - Pięknie.

Kochał to miejsce, z którego roztaczał się wspaniały widok na górzystą okolicę i piękne lasy niezniszczone działalnością człowieka.

- Teraz rozumiem, dlaczego chcesz mieć tutaj swój dom. Ale co z wodą, prądem, ogrzewaniem i wszelkimi wygodami?

Mark wybuchnął śmiechem.

*Autor pilnie poszukiwany*

69

- Zdziwisz się, jeśli ci powiem, że można się obyć bez tych udogodnień.
  - Woda jest niezbędna. Bez ogrzewania zimą zamarzniesz na śmierć.
  - Wodę zamierzam nosić ze strumienia, a z czasem doprowadzę ją rurami do samego domu. Ogrzewanie też będzie. Początkowo myślałem o kominku, ale dowiedziałem się, że jeden ze znajomych ma w garażu żeliwną kuchnię w dobrym stanie, więc postanowiłem ją kupić i wykorzystać do ogrzewania oraz gotowania. Koleś zarobi, a ja będę mieć problem z głowy.
  - Chcesz tu zamieszkać?
  - Owszem. To będzie moja baza wypadowa. Dawniej wynajmowałem mieszkanie, ale to przeszłość. Wszystkie rzeczy na razie trzymam u babci, ale nie ma mowy, żebym u niej mieszkał. Oboje jesteśmy samotnikami.
  - Ale to straszne odludzie! - mruknęła Maggie. Czubkiem buta rozgarniała kamyki.
  - Ziemia jest okropnie kamienista, więc fundamenty będą płytkie, ale z czasem wybuduję sobie piwniczkę. Wszystko zależy od tego, ile czasu będę tu spędzać.
  - Rozumiem, dlaczego lubisz to miejsce. Jest... nieskalane.
  - Poczekaj do zachodu słońca.
- Objął ją ramieniem i wskazał czerwony krąg, który schodził coraz niżej i wkrótce miał zniknąć za jednym z pagórków.
- Która godzina? - Maggie nerwowo spojrzała



**Jennifer Drew**

na zegarek. Odkąd wyszli z domu, raz po raz na niego zerkąta. - Muszę wracać.

- A ja nie. Zamierzam dziś wieczorem rozbić obóz. Przyłącz się do mnie. Zobacysz, jak wspaniale patrzy się tu w gwiazdy.

- Nie mogę! Na mnie już pora. Mam obowiązki.

- Jutro sobota. Nie idziesz do wydawnictwa. Po prostu inaczej zorganizujesz sobie pracę.

- Nie w tym rzecz! Jak mamy tu nocować bez sprzętu, odpowiedniego ubrania?

- Tchórz cię obleciał? Czego się boisz? Z mojej strony nic ci nie grozi.

- Naturalnie, ale nie wzięłam nawet szczoteczki do zębów.

- Jutro rano pożyczysz od babci. Wszystkiego ma w bród. Robi ogromne zapasy, bo nie znosi jeździć do miasta po zakupy. Na domiar złego kiedy mnie nie ma w okolicy, musi wśród sąsiadów poszukać usłużnego kierowcy gotowego podwieźć ją w obie strony.

- Rozumiem, ale i tak nie mogę tu zostać na noc! Mark słyszał przerażenie w jej głosie. Lada

chwila wpadnie w panikę! Często miał do czynienia z wystraszonymi turystami i świetnie dawał sobie z nimi radę, więc nie zamierzał rezygnować. Miał nadzieję, że autorka przewodników z serii „Wyprawa w nieznane” dziś przekona się wreszcie, o czym pisze.

- Mam tu namiot. Rozstawię go i zamkniemy się od środka. Nie ma powodu do obaw.

- Nie będę z tobą spać!

## *Autor pilnie poszukiwany*

71

- A czy ja coś takiego sugeruję? Są dwa śpiwory. Każde z nas będzie spać w swoim. Obiecuję, że nie zakradnę się w nocy do twojego. Możesz mi wierzyć. Przecież żyję z tego, że nocuję w namiocie z grupą obcych ludzi, którzy mi zaufali.
- Dlaczego tak ci zależy, żebym dziś tu nocowała? - spytała ze złością.
- Wymagasz ode mnie wejścia w środowisko, które jest mi obce. Mam na myśli wydawnictwa, księgarnie, wielkomiejskie ulice, co wymaga sporej odwagi. Chcę sprawdzić, czy podejmiesz wyzwanie i choć na krótko wyjdiesz ze swojego kokonu.
- Twoja praca i ta dzisiejsza eskapada to dwie zupełnie różne sprawy. Nie muszę ci niczego udowadniać.
- Nie wywozłem cię na bezludną wyspę! Harcerze biwakują niekiedy w miejscach bardziej oddalonych od cywilizacji. My jesteśmy w komfortowej sytuacji. Wszystko, czego nam potrzeba, możemy wziąć od babci.
- Jesteś szalony! Całkiem ci odbiło? Nie będę z tobą nocować!
- Jak chcesz. W takim razie nie podpiszę kontraktu.
- To jest szantaż!
- Ależ skąd! Gram w otwarte karty. Mam udawać autora napisanych przez ciebie książek o życiu w leśnej dziczy, tak? Sama mówisz, że jedynie teoria to twoja specjalność, więc przyda się odrobina praktyki. W tej dziedzinie nie masz żadnych doświadczeń. Niech M. S. Stevnes udowodni, że

**Jennifer Drew**

nie jest mięczakiem. Ciekawe, czy odważy się przy bezchmurnej pogodzie przespać noc pod gołym niebem.

- Podsumujmy. Jeśli prześpię się z tobą w namiocie, podpiszesz kontrakt.

- Gniew i złość ścisnęły jej gardło, więc mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał.

- Raz jeszcze powtarzam, że o spaniu ze mną nie ma mowy. Nie jestem kretynek ani napalonym nastolatkiem. Gdybym chciał cię uwieść, zrobiłbym to w luksusowym hotelu, na miękkim łożu z baldachimem.

- Wybierz sobie z głowy takie głupie myśli. O żadnym uwodzeniu mowy być nie może! Po co mi taki zadufany w sobie, arogancki...

- W takim razie wszystko już wyjaśniliśmy. Każde z nas ma własny śpiwór. Jeśli wytrwasz do rana, podpiszę kontrakt. Twoja odmowa to natychmiastowe zerwanie negocjacji.

- Jesteś odrażający!

- Nie musisz się cieszyć z tej wyprawy. Udowodnij mi tylko, że nie jesteś zupełną oferwą. - Mark wzruszył ramionami.

- Ja ci dam oferwę! Licz się ze słowami! Nie szczędziła mu gorzkich słów, ale pozwolił jej

się wygadać, ponieważ oboje wiedzieli, że dzisiejszej nocy będą dzielić namiot. Mark przekonał się, że Maggie jest okropną złośnicą.

Bezpieczniej czułby się, dzieląc namiot z leśnym rysiem, ale jednego był pewny: dziś przenocują na jego polanie.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

To był koszmar. Maggie łudziła się nadzieją, że lada chwila obudzi się w swoim panińskim łóżku, na poduszce obleczonej w powłoczkę haftowaną dawno temu przez jej babcię.

Gdy po decydującej rozmowie Mark poszedł do swojej skrytki po namiot i resztę sprzętu, miała nadzieję, że bezpański pies pogryzł wszystko. A może polne myszy harcowały w kryjówce? Była niemal pewna, że zobaczy strzępy materiału i połamane narzędzia. Zwierzęta nie przejmują się prawem własności. Oby pogryzły wszystko jak leci! Niestety, dzicy sąsiedzi Marka uszanowali jego rzeczy. Namiot rozłożył się łatwo niczym parasolka.

- Obiecane, dotrzymane - powiedział z zado-

*Jennifer Drew*

wolaniem. - W środku zmieszczą się dwa śpiwory. Będzie sucho i miło. Odsunął zamek błyskawiczny mocujący klapę namiotu i gestem zaprosił Maggie na inspekcję. Wsunęła głowę pod niską kopułkę, nie mogąc uwierzyć, że zgodziła się nocować w takim maleństwie.

- Podłoga z nylonu, okienka z tiulową przesłoną zapewniają wentylację. Miło i przytulnie jak we własnym domu.

- Jasne. Dla myszki albo krasnoludka. Człowiekowi trochę tu ciasno, a dwoje ludzi to już tłum - mruknęła ponuro.

Saba obejrzała namiot, a potem obwąchała go w środku i na zewnątrz. Ogon podniesiony do góry oznaczał, że oględziny wypadły zadowolająco.

- Będzie z nami spała? - spytała z nadzieją Maggie.

- Nie. Kiedy znudzi ją ta wyprawa, pobiegnie do domu.

- Jak się tutaj dostała? Nie widziałam jej na ścieżce, kiedy się wspinaliśmy.

- Woli biec lasem. Tam nie jest tak stromo.

- Hej, Saba! Sabunia! - Maggie zawołała suczkę, żeby ją pogłaskać.

Wkrótce dokazywały razem jak szalone. Mark zebrał sprzęt i wziął się do urządzania namiotu.

- Zwykle podczas rozbijania obozu stosuje się podział pracy. Każdy ma swoje zadanie - oznajmił uszczypliwie.

- To nie był mój pomysł. Zachciało ci się obozowiska, to się męcz.

*Autor pilnie poszukiwany*

75

- Leniom wrzucamy kamyki do pionierek albo wiążemy ciuchy na mocne supły - ostrzegł Mark.
- Szczęściara ze mnie. Nie noszę pionierek, a wszystkie ciuchy mam na sobie.
- Moja flanelowa koszula przyda ci się, gdy wieczorem pochłodnieje. Maggie nie była zadowolona z męczącej wyprawy, ale musiała przyznać, że zachód słońca w górach przeszedł jej najsmielsze oczekiwania. Nad horyzontem zasnutym różowymi i pomarańczowymi smugami wisiało ogromne czerwone słońce. Gdy ramię przy ramieniu stali wpatrzni w ten niezwykle widok, opuściła ich wzajemna niechęć, a powrócił wewnętrzny spokój.
- Co teraz będziemy robić? - zapytała Maggie, gdy szarość zmierzchu pochłonęła barwy.
- Wykopię niewielki dołek i rozpalę małe ognisko. Nazbierałem za dnia trochę chrustu.
- Po co nam ognisko? Jest ciepło.
- A co będziemy robić? Chcesz iść spać? Przysięgła sobie, że nie zmruży oka, póki nie znajdzie się w swoim własnym łóżku, ale nie zamierzała o tym mówić Markowi.
- Nie, jeszcze za wcześnie.
- W przewodnikach wspomniałaś o podróżnikach siadujących przy obozowym ognisku.
- Dobra. Fajny pomysł. Zbiorę więcej chrustu. Niebo przybrało kolor ciemnego granatu: Gwiazdy lśniły jak diamenty. Usiedli ramię przy ramieniu obok strzelającego iskrami ogniska.
- Patrz, ile gwiazd. Widać ich coraz więcej.

*Jennifer Drew*

- Mark zniżył głos do zmysłowego szeptu. - Co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

- Będziemy opowiadać historie. Najlepiej przerażające. Jak w dzieciństwie na szkolnych wycieczkach - zdecydowała Maggie.

- Dobra. Ja zaczynam - zapalił się Mark. - Dawno, dawno temu Sid i Amy mieli dość towarzystwa i chcieli spędzić trochę czasu tylko we dwoje.

- Co to za jedni?

- Bardzo sympatyczna para. Młodzi, zakochani... Ej, pani redaktor, proszę nie poprawiać mojej opowieści.

- Przepraszam. Chcę tylko jak najwięcej wiedzieć o bohaterach.

- Słuchaj dalej. Sid i Amy pojechali autem za miasto i zaparkowali w gęstym lesie.

- Jakie to miasto?

- Oliver w stanie Ohio. Zjechali z wyboistej drogi i zaparkowali w miejscu, gdzie często przyjeżdżały takie parki.

- Aha. Chcieli się poprzytulać!

- Tak! - W głosie Marka dała się słyszeć nutka zniecierpliwienia.

- Dzięki. Ciekawią mnie wszystkie szczegóły. Mark wrzucił do ognia kilka gałązek. Buchnął

płomień i w jego świetle Maggie ujrzała jego minę. Jasno i wyraźnie dał jej do rozumienia, że ma się zamknąć i słuchać uważnie.

- Sid włączył radio i znalazł nastrojową muzykę. Warto było. Wkrótce zdjął Amy bieliznę i już...

- Eeee tam! Miał być horror, a ty mi opowiadasz

### ***Autor pilnie poszukiwany 77***

taniego pornosa. Nie ma się czego bać! - Maggie odsunęła się od Marka, wmawiając sobie, że było jej niewygodnie, gdy siedzieli przytuleni.

- Cierpliwości! Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Zaraz będzie strasznie! Nagle muzyka ucichła i spiker przeczytał komunikat. Seryjny morderca uciekł z więziennego transportu. Dwaj policjanci konwojowali go do pewnej instytucji, gdzie miał pozostać do końca życia. Rzucił się na nich, obezwładnił i straszliwie okaleczył. Ich stan jest krytyczny, walczą o życie w szpitalu. Przestępca zbiegł.

- Jechał do więzienia o zaostrowym rygorze?

- Nie, do domu wariatów.

- To określenie wyszło z użycia.

- Ale mi się podoba. Sid i Amy byli już bardzo blisko... sama wiesz czego, więc po prostu wyłączyli radio i dalej robili swoje, nie przejmując się wiadomością.

Ogień przygasł, a Mark zniżył głos do szeptu.

- Nagle usłyszeli, że coś skrobie o dach auta. Początkowo nie zwracali uwagi na ten odgłos. To mogła być gałąź poruszana wiatrem lub nawet dzikie zwierzątko hasające po masce samochodu. Amy i Sid byli młodzi, zakochani w sobie. Sid od pół roku starał się o względy Amy.

- Słuchaj, to naprawę żaden horror! Taka sobie bajeczka.

- Nagle skrobanie rozległo się głośniejsze. Sid chciał wysiąść i sprawdzić, co się dzieje, ale wystraszona Amy mu nie pozwoliła.



*Jennifer Drew*

- Na jej miejscu zrobiłabym to samo. Moim zdaniem wybrali sobie fatalne miejsce na swoje... tete-a-tete.

- Amy nie chciała, żeby Sid wyszedł z auta, a on z kolei był wściekły, że musiał przerwać... sama wiesz co. Upewnił się tylko, czy drzwi i okna są zamknięte, i chciał dokończyć, co zaczął, ale Amy była zbyt wystraszona.

- Dlaczego w takich opowieściach to kobieta jest zawsze bardziej strachliwa?

- Nagle usłyszeli przenikliwy metaliczny dźwięk, jakby ktoś próbował łomem podważyć drzwi od strony pasażera. Sid nie wytrzymał nerwowo, uruchomił silnik i na wstecznym biegu popędził wąską leśną drogą aż do miejsca, gdzie można było zawrócić.

- No i proszę! Być może uniknęli najgorszego.

- Owszem, ale wieczór był stracony. Sid czuł się podle, bo uległ panice i zwiął wystraszony. Odwiózł Amy do domu, wysiadł i obszedł auto, żeby otworzyć jej drzwi.

- No! Przynajmniej jedna zaleta. Okazał się dżentelmenem - wtrąciła Maggie.

- Nagle z przerażeniem spostrzegł żelazny hak wsunięty pod drzwi auta. To seryjny morderca próbował się włamać.

- Nazywał się kapitan Hook - ciągnęła drwiąco Maggie. - Problem w tym, że dziś nie ma prawdziwych piratów, a seryjni mordercy nie noszą żelaznych protez w kształcie haka.

Maggie uważała się za dość odważną. Trzeba

*Autor pilnie poszukiwany*

79

było czegoś więcej niż podrzędny horror, żeby ją przestraszyć.

- Dobra. Skoro jesteś taka mądra, opowiedz lepszą historię.

- Nie wiem, czy potrafię. Tylko raz byłam na letnim obozie. Nie znam takich opowieści. Gdzie miałam się ich nauczyć, skoro potem już nigdzie nie wyjeżdżałam? Wiesz co? Chodźmy spać. Wejdę pierwsza do namiotu i szybko przygotuję się do snu.

- A ja będę stać na straży - odparł żartobliwie. Maggie spostrzegła, że nie ma Saby. Mądra

psinka. Od uroków leśnego obozowiska wolała miękkie poślanie w domu Córy."

Maggie szybko zdjęła obcisłe spodnie i skarpetki, narzuciła flanelową koszulę Marka i wślizgnęła się do śpiwora.

Głupia była tamta opowiastka. Same bzdury: morderca z żelaznym hakiem, napalony bohater, no i wystraszona panna, goła jak święty turecki.

- Mogę wejść? - Mark stał u wejścia do namiotu.

Zgasił ognisko i w obozie pociemniało. Na tle granatowego nieba widziała tylko jego sylwetkę. Niski, głęboki głos wywoływał przyjemny dreszcz. Maggie z przerażeniem myślała, że ten jasnowłosy macho położy się zaraz obok niej w namiocie o wymiarach psiej budy.

- Chwileczkę...

Drżącymi rękami manipulowała przy suwaku śpiwora. Gdy była już przykryta po samą szyję, zaprosiła Marka do namiotu.

*Jennifer Drew*

- Wygodnie ci? - zapytał.
- Tak, bardzo - skłamała, choć przez śpiwór, karimatę i nylonową podłogę namiotu czuła każdy kamyk, patyk i korzeń.
- Pięknych snów.
- Stawiam raczej na koszmary.
- Mam nadzieję, że jesteś skowronkiem.
- Raczej sową.

Długo leżała bez ruchu. W starannie zapiętym śpiworze było jej okropnie gorąco. Wierciła się, próbując bezszelestnie odsunąć zamek błyskawiczny. Po kilku próbach wreszcie się udało. Odetchnęła z ulgą i położyła się na boku, wsłuchana w leśne odgłosy. Wokół namiotu trwała ożywiona krzątania. Rozmaite żyjątka zamiast spać prowadziły nocne życie.

Współczuła nocnym myśliwym, a zarazem biadała nad ich głupotą. Jak mają złapać ofiarę, skoro tak hałasują? Trudno, same są sobie winne.

Rozpoznała granie świerszcza powtarzającego swoją melodię. Ciekawe, co tak skrobie obok namiotu. Paskudny dźwięk. Nie miała ochoty spotkać się z osobnikiem, który go wydaje.

Chwileczkę! Właściwie co to za skrobanie?

Dobry Boże! Czy warto dla zwykłego kontraktu narażać się na ogromne niebezpieczeństwo?

Podciągnęła kolana pod brodę i leżała, nasłuchując. Nie wymyśliła sobie tego dźwięku. Wciąż go słyszała.

Nagle znieruchomiała ze strachu. Przesłonięte gazą okienko namiotu było odsłonięte. Czyżby ktoś przy nim manipulował? Przez chwilę łudziła się, że

### ***Autor pilnie poszukiwany 81***

to złudzenie optyczne. Niestety. Co gorsza, ciche, uporczywe skrobanie nie dawało jej spokoju.

- Dlaczego się tak wierzisz? - mruknął zaspany Mark. - Jeśli mam czuwać, powinnaś mnie jakoś zabawiać.

- Coś słyszałam.

- Bzdura! Nic złego się nie dzieje.

Odwrócił się do niej plecami. Mimo woli podziwiała szerokie ramiona.

Pachniał bardzo przyjemnie: słońcem, latem i sianem.

- Mark, mówię serio. Coś tu skrobie. Nie słyszysz?

- O Boże! - Jęknął przeciągle: - Teraz rozumiesz, co się dzieje, gdy ludzie przed zaśnięciem opowiadają sobie straszne historie.

- Nie zmyślałaś. To się zdarzyło naprawdę, co?

- Ależ skąd! Mnóstwo takich historyjek krąży po mieście.

- Nieważne. Coś słyszę i to nie są żadne omamy.

- Może wiatr kołysze gałęzią - odparł bez przekonania sennym głosem.

- Gdzieś już to słyszałam. Lepiej wstań i sprawdź. To nie ja wpadłam na pomysł, żeby tu nocować.

- To bezpieczne miejsce. Nocowałem tu z bratem, kiedy miałem dwanaście lat.

Maggie ukłękła. Miała wielką ochotę potrząsnąć nim i wytargać za uszy.

- O, znowu! Słyszałaś?

- Wokół jest mnóstwo drzew, krzewów oraz

*Jennifer Drew*

zwierząt. My im nie szkodzimy i one zostawiają nas w spokoju. Jesteśmy bezpieczni. - Ostatnie słowa zabrzmiały ciszej, bo Mark przetoczył się na brzuch i przytulił głowę do poduszki.

- Przynajmniej wystaw głowę na zewnątrz i nadstaw uszu - nie dawała za wygraną.

Jęcząc i postępując, podczołgał się do wejścia, odsunął zamek błyskawiczny i wyjrzał na zewnątrz.

- Nic tam nie ma - zapewnił.

- Kłamiesz. Musiałeś coś słyszeć.

- Nie dasz mi spokoju, aż włożę buty i obejdę obozowisko.

- Aha - potwierdziła z chmurną miną, zakładając ramiona na piersi.

- Jeśli ustąpię, położysz się i dasz mi spać?

- Oczywiście - zapewniła.

Nagła inspekcja nie potwierdziła jej obaw. Maggie nie dowierzała Markowi, więc łąziła za nim krok w krok.

- A nie mówiłem, że wszystko jest w porządku? Czy teraz mogłabyś łaskawie wleźć do śpiwora i trochę pospać? Masz jeszcze jakieś problemy?

Chętnie poskarżyłaby się na twarde podłoże i okropną ciasnotę. Było jej za gorąco i okropnie się denerwowała, ale nie chciała, żeby Mark uznał ją za przewrażliwioną królową na ziarnku grochu.

- Nie chcę ci przeszkadzać - odparła cicho.

- No nie wiem... W każdym razie nie mam teraz ochoty rozmawiać.

- Wracamy do namiotu i kładziemy się spać. Leżała bezsennie w śpiworze, gapiąc się na

*Autor pilnie poszukiwany*

83

granatową kopułę namiotu. Była pewna, że do świtu nie zmruży oka. Pan Granville powinien ją po rękach całować. Dla niego znosiła ten koszmar. Zacisnęła powieki. Trzeba przeczekać do rana.

Gdy otworzyła oczy, kopułę namiotu rozświetlał słoneczny blask. Nie mogła uwierzyć, że zasnęła. Kiedy? Jak? Czy podejrzone skrzypienie i trzaski rozległy się znowu? Wyciągnęła rękę i dotknęła sąsiedniego pośłania.

Mark odszedł! Zostawił ją. Była zbyt zmęczona, żeby rozpaczać. Nagle poczuła miłą woń. Las pachniał kawą. Oprzytomniała wreszcie. Był ranek. Skończyła się koszmarna noc.

- Za parę minut zapraszam na śniadanie - powiedział Mark, wsuwając głowę do namiotu. Nagle zdała sobie sprawę, że siedzi na śpiworze w jego koszuli zwiniętej w talii.

- Nie gap się!

- I tak wszystko widziałem. Świetna pupa, niezłe nogi.

- Nogi są fantastyczne! Chyba wiem, jak wyglądam.

- No pewnie! Żartowałem! Mam nadzieję, że jesteś głodna, bo harowałem jak niewolnik, żeby śniadanko było pierwsza klasa. Zaparzyłem kawę.

- Czuję zapach bekonu.

- Jest gotowy. Usmażyłem też naleśniki z syropem klonowym zrobionym przez moją babcie. Jeśli musisz iść na stronę, to migiem.

Wskazał jej właściwy kierunek. Latrynka była

*Jennifer Drew*

prosta, ale funkcjonalna. Umycie rąk i twarzy w lodowatej wodzie strumienia ostatecznie ją rozbudziło.

Wskoczyła do namiotu i naciągnęła spodnie, a potem usiadła przy małym ognisku i wdychała rozkoszne zapachy.

- Dawno wstałeś? - zapytała.

Kawa pita z metalowego kubka bardzo jej smakowała.

- Pamiętaj, że praca w obozowisku to mój zawód. Śniadanie dla dwojga robię w mgnieniu oka. Nie wiem, czy zauważyłaś, że wczoraj miałem ze sobą plecak, a tutaj jest kilka kryjówek ze sprzętem i podstawowymi wiktuałami.

- Wczoraj w nocy naprawdę słyszałam podejrzaną dźwięki.

- Ja również, ale zapewniam cię, że to były naturalne odgłosy.

Podał jej metalowy talerz, ostrzegając, żeby nie stawiała go na kolanach, bo wszystko jest gorące. Rzuciła się na proste potrawy, jakby umierała z głodu. Jadła palcami, bo plastikowe sztucce okazały się nieporęczne.

Mark usiadł po drugiej stronie i uważnie ją obserwował.

- Jestem wściekła, że użyłeś szantażu, chcąc mnie tu zatrzymać, ale warto było się pomęczyć, bo to najlepsze śniadanie, jakie w życiu jadłam.

Z łakomstwa pochłonęła drugi naleśnik.

- Dotrzymałaś słowa, więc po powrocie do domu babci podpiszę kontrakt

- obiecał, gdy kończyła śniadanie.

*Autor pilnie poszukiwany*

85

- Zostało jeszcze trochę kawy?

Mark parzył ją w biało-niebieskim emaliowanym dzbanku. Widywała takie jedynie w antykwariatach.

- Owszem. Daj kubek. Pewnie się cieszysz, że lada chwila stąd znikamy.

- Zjesz tamten plasterek bekonu?

- Częstuj się - odparł z uśmiechem.

- Pomogę ci zwinąć obóz - oznajmiła, skubiąc chrupiący plasterek. -  
Potem wracamy do twojej babci i podpisujemy kontrakt.

- Taki mam zamiar - odparł.

- Świetnie.

Maggie zebrała z patelni skrawki bekonu i zjadła je ze smakiem. W swoich przewodnikach całkiem słusznie napisała, że wypoczynek na świeżym powietrzu wzmacnia apetyt.



## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Babcia zmierzyła Marka badawczym spojrzeniem. Maggie odjechała niespełna godzinę temu, a jednak nie padło ani jedno słowo na jej temat. Gdy babcia patrzyła w milczeniu jasnoniebieskimi oczyma, można się było spodziewać poważnych kłopotów.

- Podpisałem kontrakt - oznajmił bez emocji.  
- Bardzo jej na tym zależało. Po to przyjechała. Babcia nadal milczała. Dobrze znał jej metody.

Nie odezwie się, póki on w złości czegoś nie palnie. Problem w tym, że dawno przestał być chłopcem i nie szukał zwady.

- Nie wrócę na obiad - oznajmił, zbierając się do wyjścia.  
- Co ma nocleg na płaskowyżu do tej roboty?  
- spytała z ociąganiem Córa.

*Autor pilnie poszukiwany*

87

- To dość skomplikowane.

Skoro potrzebuje informacji, niech je z niego wyciągnie.

- Mów śmiało. Wszystko zrozumiem. Nie jestem dementywną staruszką. Oho, sprawa jest poważna, skoro babcia sięgnęła po najcięższą amunicję. Ilekroć wspominała o swoim wieku lub chorobach, chciała postawić na swoim.

- Daleko ci do takiego stanu, kochanie. - Podszedł bliżej i ucałował zmarszczone brwi.

- Śliczna dziewczyna - powiedziała babcia. Nie zwróciła uwagi na całusa, ale trzymała się tematu.

- Miastowa panna. Po raz pierwszy w życiu nocowała pod gołym niebem.

- Spędziłaś z nią noc w małym namiocie. Czyżby zamierzała wpoić mu na nowo surowe

zasady moralne? Był po trzydziestce. Powinna liczyć się z tym, że sypiał z kobietami i nadal zamierza to robić. Dlaczego tak się troszczyła o

Maggie Sanders?

- Spaliśmy w jednym namiocie i nic poza tym.

- Nie to leży mi na sercu - zachnęła się gwałtownie.

- Powinnaś się troszczyć przede wszystkim o siebie i nie robić głupstw, kiedy mnie nie będzie. Jeśli masz coś do przeniesienia albo naprawienia, nie szarżuj, tylko poczekaj, aż wrócę.

- Maggie jest śliczna i potrafi się zachować. Kiedy zakazałam jej wchodzić do kuchni, usłuchała. Ma sporo oleju w głowie. Przydałaby ci się taką kobieta. Umiałaby tobą mądrze pokierować.

*Jennifer Drew*

- Wrócę po południu - powiedział Mark, udając, że tego nie słyszy. Wybierał się do składu materiałów budowlanych. - Przestań się o mnie martwić. Sam o siebie zadbam. Żadna kobieta nie musi się mną opiekować.

Babcia była niezadowolona i chętnie natarłaby mu uszu, ale w samą porę wymknął się z domu.

Przez dwa najbliższe dni lało jak z cebra. Mark studiował plany swego domu i czekał na telefon od przedstawicieli Domu Wydawniczego Granville. Powinien się wkrótce dowiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się pierwsze spotkanie autorskie.

Trzeciego dnia wypogodziło się nareszcie. Dzień był słoneczny, wręcz upalny. Mark od rana pracował na płaskowyżu, szykując fundamenty pod swój nowy dom. Następnego dnia spodziewał się pierwszej dostawy materiałów budowlanych. Na płaskowyż wiodła stara leśna droga, okrężna, ale wygodna. Tamtędy miały być przywiezione. Gdy przyszedł do babci na obiad, był zgrzany, spocony i uradowany. Po raz pierwszy samodzielnie budował dom, ale nie miał z tym problemów. Na pewno sobie poradzi. Dziadek był świetnym cieślą i nauczył go wszystkiego, co umiał.

Babcia czekała na ganku.

- Dzwonili z pracy. To nie była Maggie - oznajmiła trochę zawiedziona. - Zapisałam numer telefonu.

Mark nie miał zamiaru odzywać się natychmiast do ludzi z wydawnictwa, ale babcia uparcie milczała podczas obiadu. Bez słowa zjedli rosół oraz

kurczaka z warzywami i świeży razowy chleb. Mark westchnął ciężko. Zanim Maggie pojechała do domu, podpisał ten cholerny kontrakt, więc powinien zadzwonić i sprawdzić, czego chcą.

Telefon odebrała panna Mason, sekretarka pana Granville'a. Po głosie poznał, że ma swoje lata. Była chyba niewiele młodsza od jego babci, ale znacznie bardziej nadęta.

- Pański harmonogram jest gotowy. Ma pan faks? Zaraz go panu wyślę.

- Niestety, nie. Proszę zrobić wydruk i przesłać mi go pocztą.

- Może priorytetem? Czasu jest niewiele. Zwykły list idzie kilka dni.

Po co ten pośpiech? Mark nie lubił, żeby go popędzano.

- Sam odbieram pocztę w urzędzie. Tu nikt jej nie dostarczy. Kiedy jestem wam potrzebny? - zapytał.

- Pańska trasa promocyjna zaczyna się pojutrze. Zrobiliśmy już wszystkie niezbędne rezerwacje.

- Maggie jedzie ze mną, prawda?

- Niestety, nie. Zdecydowaliśmy inaczej. Panna Sanders ma obecnie za dużo obowiązków. Będzie panu towarzyszyć jej redakcyjna asystentka, panna Jordan.

- Kto to jest?

- Rayanne Jordan. Przed awansem była zwykłą sekretarką. - W głosie panny Manson dał się słyszeć ton niezadowolenia.

- Blondynka z kolczykiem w brwiach? - zapytał Mark.

*Jennifer Drew*

- Tak. Wracając do harmonogramu... Mam go panu przeczytać?
  - Nie, dziękuję. Niech mnie pani przełączy do Maggie.
  - Panna Sanders pracuje dziś w domu. - Sekretarkę pana Granville'a wyraźnie zirytowało jego żądanie.
  - W takim razie poproszę o jej domowy numer telefonu.
  - Przykro mi, ale nie zostałam upoważniona do podawania takich informacji.
  - Jest Granville? Chcę z nim mówić.
  - Pan Granville wyjechał w interesach. Do wieczora będzie nieuchwytny.
  - W takim razie kto tam dziś u was pracuje?
  - Łączę z panną Jordan.
- Mark jęknął, przypominając sobie ekscentryczną sekretarkę. Natknął się na nią w wydawnictwie, gdy przyjechał oddać Maggie kopertę. Ubrana na czarno dziewczyna miała lekko obrzmiałą twarz. Jeśli Maggie uważa, że wyśle go w trasę z tą dziwaczną smarkulą, to się grubo myli. Obiecała, że z nim pojedzie i musi dotrzymać słowa. Szkoda, że nie zastrzegł sobie tego w kontrakcie, ale sądził, że sprawa jest oczywista, a ustne umowy obowiązują.
- Widzę, że jesteś mocno zdenerwowany - powiedziała Cora, gdy odłożył słuchawkę.
  - Jutro przywiozą materiały budowlane, a ja pojutrze zaczynam trasę promocyjną.
  - Podpisałeś kontrakt, więc musisz jechać - odparła bez odrobiny współczucia.

*Autor pilnie poszukiwany*

91

- Jadę wkrótce do Pittsburgha. Nie wiem, o której wrócę. Zadzwoń do ciebie.

Wykąpał się, bo od rana ciężko pracował, robiąc wykop pod fundamenty, więc był spocony i brudny. Zawsze gdy jechał do miasta, używał dobrej wody toaletowej. Te wszystkie zabiegi nie miały nic wspólnego z faktem, że postanowił zobaczyć się z Maggie.

- Muszę przyznać, że ładnie pachniesz mruknęła babcia. - Jedziesz do Pittsburgha? Maggie tam pracuje i mieszka, prawda?

Był za stary, żeby kobieta, niezależnie od wieku albo stopnia pokrewieństwa, wyciągała z niego podstępnie, jakie ma plany na cały dzień.

Maggie zdecydowała się popracować w domu, żeby uniknąć spotkania z panem Granville 'em, który namawiał ją usilnie, żeby pojechała z Markiem w trasę promocyjną. Nie miała na to ochoty, bo wiedziała, że to igranie z ogniem. Namówiła go w końcu, żeby zamiast niej pojechała redakcyjna asystentka, ale szef znany był z tego, że zmieniał decyzję w zależności od swego widzimisie.

Maggie wpadła na pomysł, żeby Rayanne awansowała. Towarzysząca temu podwyżka była wprawdzie minimalna, a nowy zakres obowiązków obejmował także czynności sekretarki. Ponieważ pan Granville nie zamierzał teraz nikogo zatrudnić, więc i po zmianie właściciela pozycja Rayanne będzie wyższa, ale po awansie zaliczała się do pracowników merytorycznych; a nie biurowych.

*Jennifer Drew*

Poza tym jako młodszy redaktor będzie właściwą towarzyszką podróży dla poczytnego pisarza. Na pewno się dogadają. Rayanne była pogodna i towarzyska. Dla niej taki wyjazd to pestka.

Maggie po raz trzeci czytała ten sam paragraf, gdy usłyszała dzwonek telefonu. I bardzo dobrze! Zasłużyła na krótką przerwę.

- Cześć, tu młodszy redaktor Rayanne Jordan. -Asystentka Maggie uwielbiała tytuły. Marzyła, by poślubić hrabiego lub barona.

- Co się dzieje? Jesteś w pracy?

- Tak. Możemy spokojnie rozmawiać. Siedzę w twoim biurze. Drzwi są zamknięte.

- Dlaczego?

- Gargulec kazał mi przekazać informację.

Sekretarka pana Granville'a wymagała od młodszych wiekiem i stanowiskiem pracowników wydawnictwa hołdów i wyraźnych oznak szacunku. Niepokorna Rayanne od razu wymyśliła dla niej przezwisko. Do wyniosłej dziwaczki doskonale pasowała nazwa średniowiecznych maszkaronów wieńczących dachy gotyckich katedr. Maggie pokochała Rayanne jak siostrę, ale cieszyła się, że fazę totalnego zauroczenia średniowieczem i gotykiem mają już za sobą, bo co za dużo, to niezdrowo. W szczytowym momencie i Rayanne wyglądała jak bohaterka powieści fantasy z elementami horroru obficie podlanego mediewistycznym sosem. Ciekawe, jak Markowi będzie się współpracować z redakcyjną królową potępieńców.

- Dobre nowiny? - zapytała. - Jeśli tak, mów

*Autor pilnie poszukiwany*

93

natychmiast, ale jeżeli chcesz mnie zasmucić, nie będę tego słuchać.

- Dzwonił pan Sully. Domagał się twojego adresu i numeru telefonu.

Gargulec z nim gadał.

- Pan Sully, rzecz jasna, nic nie wskórał. - Maggie bała się, że drżenie głosu zdradzi jej nerwowość.

- Tak się składa, że mu dałam twoje namiary.

- Jak mogłaś! To nie licuje z godnością młodszego redaktora!

- Przekonał mnie, że musi się z tobą pilnie skontaktować. Tłumaczył, że prędzej czy później dostanie od kogoś te namiary, więc nie powinnam utrudniać mu życia. Jego argumenty trafiły mi do przekonania. Wybacz, Maggie. Facet ma gadane. Każda dziewczyna poszłaby za nim...

- Nieważne. Chcesz powiedzieć, że zamierza tu przyjść?

- Tak sędzę.

- Od dziś wydłuża się o dwie godziny czas pracy młodszych redaktorów. W piątek wieczorem mają dłużej siedzieć w wydawnictwie.

- Proszę używać liczby pojedynczej. Szefowa ma na razie tylko jedno popychadło. To był żart, prawda?

- Zobaczymy. Powiem ci, kiedy będzie wiadomo, czy Mark tu przylezie, czy nie.

Odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, ile czasu zajmie mu droga do jej mieszkania. Gdyby jechał prosto z siedziby wydawnictwa, przy sprzyjających warunkach dotarłby tutaj w kwadrans, ale na pewno utknie w korkach. Miała dość czasu, żeby opuścić mieszkanie, zanim się tu zjawi.



*Jennifer Drew*

Chwyciła torebkę i nagle znieruchomiła, bo uświadomiła sobie, że robi głupstwo. Mark Sully nie budził w niej obaw. I co z tego, że niezobowiązująco złożyła mu pewne obietnice? Sugerowała, że będzie mu towarzyszyć podczas trasy promocyjnej, ale w kontrakcie nie ma o tym ani słowa. Poza tym Mark szantażem wymusił na niej obietnicę. Przez niego musiała spać w namiocie.

Została uprzedzona o wizycie, ale gdy usłyszała głośnie stukanie do drzwi, wzdrygnęła się przerażona. To na pewno on. Nie ma wątpliwości. Kto inny pukałby zamiast nacisnąć dzwonek?

Rozejrzała się po salonie utrzymanym w barwach jesieni. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że całe mieszkanie tworzy otwartą przestrzeń. Nie miała się gdzie schować przed natrętnym współpracownikiem. Mógł ją obserwować do woli, ponieważ nie miała zasłon, a beżowe rolety były podniesione.

Pukanie rozległo się znowu.

Chwileczkę! Była tu jedna doskonała kryjówka. Garderoba miała solidne drzwi. Trzeba się zaszyć...

- Wiem, że tam jesteś, Maggie. Widziałem na parkingu twój samochód. Dość tego! Żadnych kryjówek. Dziś wieczorem nie zmrużyłaby oka, gdyby nie załatwiła sprawy od razu. Otworzyła szeroko drzwi i z ponurą miną popatrzyła na intruza.

- Skąd wiesz, gdzie parkuję? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Nie mam pojęcia. Blefowałem, jak widać

## *Autor pilnie poszukiwany*

**95**

skutecznie. Przyszło mi do głowy, że tamta dziwna pannica uprzedzi cię o mojej wizycie. Obawiałem się, że poszukasz sobie kryjówki, aby uniknąć spotkania.

Zarumieniła się, ale nie zamierzała przyznać, że trafił w dziesiątkę. Bez słowa odsunęła się na bok i wpuściła go do środka. Nie będą przecież klócić się w progę.

- Chciałbym zapytać, dlaczego wycofałaś się z umowy - powiedział, zakładając ramiona na piersi. Czarny T-shirt podkreślał muskulaturę torsu i ramion. - Przecież obiecałaś, że będziesz mi towarzyszyć, kiedy zaczniesz się ten promocyjny cyrk.

- Nie przesadzaj! Przecież to śmiesznie. Przyjeżdżasz do księgarni, rozdajesz autografy, uśmiechasz się szeroko do czytelników. Prosta sprawa.

- Żadnego gadania?

- Kilka słów dla radia i telewizji. Ewentualnie głośne czytanie książki.

Rayanne da ci kilka arkuszy z typowymi pytaniami i odpowiedziami.

Łatwiej sobie z nimi poradzisz, bo jesteś stary praktyk. Znasz to wszystko z autopsji.

- Już mówiłem, że w waszym planie jest pewien słaby punkt.

- Jaki? - spytała ostrożnie.

- Obiecałaś ze mną jechać.

- Tak. Zanim mnie zmusiłeś do nocowania w namiocie. Tamten szantaż przesądził o mojej decyzji.

- Tak ci się tylko wydaje!

## 96 *Jennifer Drew*

- Zmusiłeś mnie, żebym ryzykowała życie...
  - Na płaskowyżu jest bezpiecznie. Ludzie spacerujący w ciemnościach narażają się na większe zagrożenie niż my podczas tamtego biwaku. Zapewne miał rację, ale Maggie wolałaby dotknąć ogromnego włochatego pająka, niż przyznać Markowi rację.
  - Uwierzyłem ci na słowo - nie dawał za wygraną. - Ujmę to w ten sposób: jedziesz ze mną albo wychodzę z gry.
  - Podpisałeś kontrakt. Nasi adwokaci...
  - Proszę bardzo, podaj mnie do sądu.
  - Pewnie, że to zrobię! Zostaniesz oskarżony o niedotrzymanie warunków kontraktu.
  - Skarbie, w tym sporze nie byłabyś stroną. Umowa w ogóle o tobie nie wspomina. Poza tym nie sądzę, żeby Granville chciał wikłać swoje wydawnictwo w taki proces. Przecież chodzi o mistyfikację i próbę oszukania czytelników. Po takiej aferze miałyby ogromne problemy ze sprzedażą firmy.
- I kto to mówi? Maggie nie poznawała Marka Sully'ego. Zamiast przeciągać sylaby i mówić krótkimi urywanymi zdaniami perorował jak nowojorski prawnik. Nagle zdała sobie sprawę, że stoi nieruchomo i gapi się na niego z otwartymi ustami. Zamknęła je natychmiast.
- Pakuj się - rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Rozejrzał się i wszedł na schody.
  - A ty dokąd?! - zawołała, biegnąc za nim i stukając obcasami.

*Autor pilnie poszukiwany*

97

Nim go dogoniła, buszował już w garderobie.

- Przestań, Mark, nie masz prawa...

- Zabierz to. - Rzucił jej ulubioną małą czarną.

- Zostaw tę sukienkę. Jest zbyt elegancka do codziennego użytku.

- Bestsellerowy pisarz taki jak M. S. Stevens pokazuje się z eleganckimi kobietami. O, ładny ciuch. Zabieramy.

Dorzucił do niewielkiego stosu rzeczy spódniczkę z czarnej skóry.

Maggie kupiła ją przed rokiem na wyprzedaży i może ze dwa razy miała na sobie, bo nie mogła się pozbyć zbędnych pięciu kilogramów. Dopiero wtedy dobrze by w niej wyglądała.

- Gdzie twoja walizka? Nieważne, sam znajdę. Wyciągnął spod łóżka granatową torbę na kółkach. Postawił ją przy łóżku i wrócił do garderoby.

- Za dużo czerni. Potrzebujemy weselszych kolorów. Czerwony garnitur jest w porządku. Bierzemy. - Odsunął na długość ramienia marynarkę i spodnie w przezroczystych plastikowych torbach.

- To wełna! Takie rzeczy nosi się w grudniu. Dlatego wiszą w torbach.

- A co myślisz o tym? - Zdjął z wieszaka krótką białą kamizelkę. - Będzie świetna do skórzanej spódniczki. Wystarczy, że pokażesz kawałek odsłoniętego brzucha i faceci zaczną szturmować stoisko z przewodnikami, starając się wkupić w twoje łaski. Każdy będzie marzył, żeby taka fajna dziewczyna zaprosiła go do swego namiotu.

- Jesteś okropny! Zaraz złożę rezygnację i nie

*Jennifer Drew*

będę musiała nigdzie z tobą jechać. - Odwróciła się do niego plecami.

- Nie mogę wyruszyć bez ciebie - powiedział cicho.

Podszedł bliżej, objął ją od tyłu i wtulił twarz w ciemne włosy.

- Ślicznie pachniesz - powiedział głosem słodkim jak miód.

- Nie jestem ci potrzebna. Musisz jechać sam. Próbowwała wysunąć się z jego objęć, ale trzymał

ją mocno. Po plecach przebiegł jej miły dreszcz, a kolana uginały się niebezpiecznie.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

- Boję się. Musisz podtrzymać mnie na duchu - szepnął.

- Proszę?

Wyrwała się w końcu z jego ramion.

- Nie przesłyszałaś się. Zrozum, nie jestem sławnym człowiekiem.

Wolałbym mocować się z niedźwiedziem niż opowiadać czytelnikom, o co chodzi w przewodnikach. W twoim świecie czuję się bardzo zagubiony, a to lęk.

- Przecież ty się nikogo nie boisz!

- Powiedziałem ci prawdę.

- Rayanne potrafi...

- To postrzelona smarkula. Wątpię, żeby przeczytała choć jedną z twoich książek. Maggie, ty decydujesz. Jeśli nie przyjedziesz na lotnisko, nie wsiądę do samolotu. - Podszedł do drzwi sypialni i nagle znów się odwrócił. - Jesteś mi potrzebna.

*Autor pilnie poszukiwany*

**99**

Uśmiechnął się nieśmiało, jakby zakłopotany tym wyznaniem. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby podbiec i pocieszyć go. Powinien wiedzieć, że go rozumie, że będzie mu służyć radą i we wszystkim pomoże. Nim zrobiła krok w jego stronę, już wyszedł.

Odkrycie nieznanymi dotąd cech Sully'ego było dla niej prawdziwym wstrząsem. Już wiedziała, że pojedzie, ale z niepokojem myślała o dniach, które mieli spędzić we dwoje.

Co by się stało, gdyby zakochała się w Marku? Nie pasowali do siebie. Jego świat był dla niej nie do przyjęcia, a on czułby się osamotniony w jej rzeczywistości. Trochę się w tym pogubiła. Nie tylko Mark miał powody do obaw.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

- Ale kurnik! Muszę przyznać, że czego innego się spodziewałem - wymamrotał Mark.

Maggie z trudem za nim nadążała, gdy szli w stronę niezależnej księgarni Emporium, jednej z najlepszych w Filadelfii.

- Sprzedają tu dużo moich... to znaczy pańskich przewodników, drogi panie Stevens.

- W głowie się nie mieści - mruknął zirytowany. - Nie pojmuję, czemu przebrałaś się za właścicielkę zakładu pogrzebowego.

- Sam wrzuciłeś mi do walizki czarne ciuchy.

- Nie przypominam sobie, żebym wyjmował z garderoby takie rzeczy.

Maggie gotowa była przyznać, że jej czarny garnitur jest przesadnie konserwatywny, co pod

### ***Autor pilnie poszukiwany 101***

kreślała dodatkowo biała koszulowa bluzka w męskim stylu, zapięta pod samą szyję.

Celowo ubrała się w ten sposób, bo nie chciała rzucać się w oczy.

Głównym bohaterem spotkania miał być Mark. Wyglądał świetnie w granatowych spodniach, nowiutkich albo starannie odprasowanych.

Bładoniebieska koszula podkreślała intensywny błękit jego oczu. Górne guziki pozostały rozpięte, dyskretnie ukazując jasne włosy porastające

tors. Zamiast ulubionych pionierek włożył markowe hiszpańskie mokasyny. Skarpetki dobrał starannie do butów i spodni. Krótko mówiąc, wyglądał jak mężczyzna z klasą.

- Szkoda, że nie poszedłem do fryzjera. Powinienem się ostrzec.

Z jego tonu wywnioskowała, że jest zdenerwowany. Chyba mówił prawdę, kiedy oznajmił, że boi się spotkań z czytelnikami, choć kiedy o tym wspomniał, sądziła, że ją nabiera.

- Twoja fryzura pasuje do wyobrażeń pana Granville'a na temat naszego bestsellerowego autora. Nie możesz być zanadto wymuskany. Wyglądasz świetnie - zapewniła.

Budynek, w którym mieściła się księgarnia, z zewnątrz wyglądał niepozornie, ale wewnątrz porażało rozmachem. Regały z książkami stały gęsto na trzech poziomach, między którymi dla wygody nabywców kursowała winda.

- Dzień dobry, kochani - przywitał ich za progiem młodzian w swetrze z białej bawełny, wypłowiałych spodniach z brązowego sztruksu



## 102 *Jennifer Drew*

i czarnych butach w szpic. Nosił małą bródkę oraz złoty kolczyk w uchu.

- Jesteśmy umówieni - odparła Maggie. - To M. S. Stevens, a ja nazywam się Maggie Sanders i jestem jego asystentką.

- Ach tak, nasz autor. - Młodzian skinął Markowi głową. - Nazywam się Gordon Petrus. - Podał jej spoconą, bezwładną dłoń. W pierwszym odruchu omal nie wytarła ręki o spodnie. - Wskażę panu stolik-oznajmił Gordon, prowadząc ich przez labirynt regałów. - Gościmy dziś także Amandę Riddle. Słyszeliście o niej, prawda?

- Naturalnie - skłamała Maggie, nie chcąc przyznać się do niewiedzy.

- A ja nie - burknął ponuro Mark.

Jak zwykle nie zamierzał nikomu schlebiać. Nawet grając rolę wziętego autora, musiał pozostać sobą.

- Napisała cudowną książkę pod tytułem „Duchy Filadelfii”.

Amanda, wychudzona jak charcica kobieta w średnim wieku z burzą siwych loków, siedziała już przy swoim stoliku. Gordon przedstawił jej Marka i Maggie.

- M. S.? - uśmiechnęła się do rzekomego kolegi po piórze. - To inicjały, a jak brzmią imiona?

Mark wydawał się lekko zdezorientowany.

- Mark Steven - wtrąciła pośpiesznie Maggie, zła na siebie, bo nie potrafiła wymyślić na poczekaniu nic oryginalnego.

- Jakże to urocze! - zachwyciła się Amanda. - Mark Steven Stevens!

### ***Autor pilnie poszukiwany 103***

Zachichotała jak nastolatka. Maggie nie potrafiła określić jej wieku. Siwe włosy pasowały do pięćdziesięciolatki, ale cera była gładka, młodzieńcza, bez jednej zmarszczki. Może Amanda zawdzięczała ją świetnemu chirurgowi plastycznemu. Albo wcześniej osiwiła.

Na składanych krzeselkach zasiadła spora grupa czytelników czekających na spotkanie autorskie. Niektórzy ustawili się w kolejce po autografy. Do Marka podeszła kobieta w średnim wieku ubrana w luźne zielonożółte szorty i białą koszulkę. Wodziła spojrzeniem od przewodnika do autora.

- Doświadczył pan wszystkiego, co jest tutaj opisane? - zapytała.
- Raczej tak - odparł z łobuzerskim uśmiechem.
- Ale nie są to wyłącznie moje przeżycia. Zwykle towarzyszy mi grupa sympatycznych turystów.
- Może pan zadedykować tę książkę Lorraine?
- zapytała rozpromieniona kobieta.
- Z przyjemnością - powiedział, obdarzając ją najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

Maggie obserwowała go uważnie. No i gdzie ten lęk przed czytelnikami oraz niechęć do publicznych wystąpień? Jak to się ma do zapewnień Marka, że jest mu potrzebna, bo sam sobie nie poradzi?

- Za pięć minut zaczynamy głośną lekturę - poinformował Gordon. - Kto z państwa czyta pierwszy? - zwrócił się do autorów.

Mark popatrzył na stojącą po prawej stronie Maggie. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, niewątpliwie padłaby trupem. Odwróciła wzrok

## 104 *Jennifer Drew*

i z zaciekawieniem przeglądała poradniki dotyczące makramy oraz innych robótek ręcznych.

- Panie mają pierwszeństwo - rzucił skwapliwie.

- Och nie! - jęknęła Amanda. - Wolałabym, żeby pan czytał pierwszy. Muszę zebrać myśli i nawiązać kontakt z duchami tego budynku. Dopiero wtedy zacznę czytać.

Mark zostawił na moment łowców autografów i podszedł do Maggie z taką miną, jakby chciał ją udusić, więc cofnęła się i poradziła, uprzedzając jego pytanie:

- Zaczynij od strony osiemdziesiątej siódmej. Masz tam opis górskiego spływu kajakowego. Szlak zaczyna się w Ohiopyle i biegnie...

- Wiem którądy. Chciałbym zapytać, dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że mam dziś czytać na głos.

Gdy do niej przyjechał, był tak zdenerwowany, że wolała nie mówić mu wszystkiego od razu, a potem jakoś się zgadało.

- Przepraszam - szepnęła skruszona. Czyelnicy poganiani przez Gordona zajmowali

miejsca, czekając na głośną lekturę. Księgarz przyniósł więcej składanych krzesełek. Pomagała mu wysoka i wiotka blondynka wpatrzona w Marka jak w obraz. Żadna z pań nie była odporna na jego urok. Większość klientek, które jeszcze przed chwilą snuły się wśród regałów, siedziała teraz na krzesłach, a gdy zabrakło miejsc siedzących, stawały pod regałami. Uradowany Gordon puszył się i czytał na głos fikcyjną biografię poczytnego autora umieszczoną na skrzydełku obwoluty. Dręczona poczu-

### ***Autor pilnie poszukiwany 105***

ciem wina Maggie zadawała sobie pytanie, dlaczego nie pisze o robieniu na drutach albo wystroju wnętrz. W tych dziedzinach miała przynajmniej niewielkie doświadczenie.

Mark znakomicie poradził sobie z lekturą, odpowiednio modulując głos, żeby oddać nastrój poszczególnych akapitów.

Gdy skończył, Gordon wstał, uśmiechnął się do publiczności i szerokim gestem wskazał Amandę, ale nim się odezwał, ręka jednej z czytelniczek wystrzeliła w górę.

- Chce pani o coś zapytać? - zwrócił się do niej Mark.

- Naprawdę przepłynął pan kajakiem cały szlak?

- Wszystko jest opisane w książce - odparł bez przekonania. - Trasa nie należy do trudnych, ale podczas takich wypraw najważniejsza jest troska o bezpieczeństwo. Trzeba mieć na głowie mocny kask, a także odpowiedni strój no i, rzecz jasna, kamizelkę ratunkową.

- Wkłada pan coś pod nią?

Maggie była zdegustowana pytaniem zadany przez podstarzałą wielbicielkę M. S. Stevensa. Kobiecie w jej wieku nie wypada tak chichotać, pomyślała z kwaśną miną.

- To zależy, z kim płynę - odparł, mrugając porozumiewawczo.

Panie jedna przez drugą zadawały najróżniejsze pytania. Każda próbowała choćby na moment przyciągnąć jego uwagę. Chyba im odbiło, uznała Maggie nie bez irytacji. To prawda, że facet jest

## 106 *Jennifer Drew*

zabójczo przystojny, odważny, wygadany, a kiedy chce, potrafi być czarujący, ale podczas wieczoru autorskiego należy dyskutować o książce! Te napalone babki najwyraźniej zapomniały, dlaczego tutaj przyszły. Na co czekają? Że Mark rzuci im klucz do pokoju hotelowego i zaprosi szczęściarę, której uda się go złapać?

Pytaniom nie było końca. Rozentuzjasmowana Amanda zapomniała o swoich duchach i na równi z innymi czytelniczkami indagowała radośnie kolegę po piórze.

Gordon znów musiał interweniować, bo księgarnię zamykano o piątej. Wkrótce przerwał spotkanie. Audytorium Marka rozchodziło się niechętnie.

- Dziękuję, że zechciał pan u nas gościć. Bardzo udane spotkanie.

Sprzedaliśmy wszystkie przewodniki, które były w magazynie. Szkoda, że nie zamówiłem więcej, ale kto by pomyślał, że wzbudzą tak wielkie zainteresowanie - powiedział Gordon.

- Ja również jestem zdziwiony - odparł Mark. Wkrótce goście opuścili księgarnię i poszli do hotelu, gdzie wcześniej potwierdzili rezerwację i zostawili bagaże.

- Okropne baby! - wymamrotała Maggie. - Niewiele brakowało, żeby hurmem rzuciły się na ciebie.

Mark wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest zabawne - protestowała. - Wolalabym, żeby M. S. Stevensa cechowało raczej poczucie godności, ogłada, głęboka erudycja...

Zajęci rozmową zbyt długo stali na skraju chod-

### ***Autor pilnie poszukiwany 107***

nika, szykując się do przejścia na drugą stronę jezdni. Zniecierpliwieni przechodnie omijali ich z gniewnymi minami. Mark zreflektował się pierwszy i pociągnął Maggie za ramię.

- Bądź ze mną szczerza. Chciałabyś sama występować jako M. S. Stevens - powiedział oskar-życielskim tonem. - Trudno ci przyjąć do wiadomości, że cała uwaga skupia się na mnie.

- Nieprawda!

- Czyżby?

Puścił jej ramię i ujął za rękę. Gdy weszli na chodnik po drugiej stronie jezdni, spadły im na głowy pierwsze krople deszczu. Maggie dopiero teraz spostrzegła, że niebo jest szare i zasnute ciemnymi chmurami.

- Zaczyna padać!

- Spokojnie. Nie jesteśmy z cukru - odparł Mark i przyspieszył kroku, prawie biegnąc w stronę hotelu.

- Czuję się zbędna i to mnie irytuje - wyznała szczerze. Krople deszczu spływały jej po twarzy. - Nie musiałeś mnie ze sobą ciągnąć. Sam byś sobie poradził.

- Nieprawda! Ty mnie inspirujesz.

- Byłeś tak zaabsorbowany oznakami uwielbienia zachwyconej publiki, że na mnie w ogóle nie zwracałeś uwagi.

- Nieustannie wyczuwałem twoją obecność.

- Przemokniemy do nitki - zmieniła temat.

- Biegnijmy!

Padało coraz mocniej. Spodnie miała mokre do kolan, włosy przyklepione go głowy. To był ciepły,

## **108 Jennifer Drew**

przyjemny deszcz, więc śmiała się na całe gardło, gdy przeskakiwali kałuże i omijali zapobiegliwych przechodniów, którzy nie zapomnieli o parasolach. Maggie brakowało tchu, bo pędziła co sił w nogach i chichotała jak szalona.

- Już widać hotel! - zawołał, wskazując ciemnozieloną markizę hotelu Royal Point. Przed wejściem portier w bordowym uniformie miotał się na wszystkie strony, daremnie próbując złapać taksówkę.

Trzymając się za ręce, statecznym krokiem weszli pod płócienną osłonę. Po co biec, skoro i tak przemokli? Mark odgarnął mokre włosy opadające na twarz. Pod przemoczoną cienką koszulą wyraźnie rysowały się mięśnie i pociemniałe od deszczu włosy na torsie. Maggie otarła dłonią policzki i odruchowo poprawiła fryzurę, udając, że nie zwraca uwagi na wspaniałą muskulaturę.

- Fajnie było - mruknął uradowany Mark.

- Jak komu - odparła.

Za nic w świecie nie przyznałaby, że doskonale się bawiła. Tupnęła nogą i omal nie wpadła na postawnego mężczyznę, który wyszedł z hotelu, ciągnąc walizkę na kółkach, i przyłączył się do grupki pasażerów z niecierpliwością czekających na taksówkę.

- Wchodzimy. - Mark wziął ją pod rękę. - Skoro mieszkamy w ekskluzywnym hotelu, z pewnością nikt się nie odważy powiedzieć złego słowa, gdy wkroczymy do holu, ociekając wodą. Śmiało, idziemy.

Zabawa trwa. A koro już o tym mowa, dlaczego tu nocujemy? Nie ma tańszych hoteli?

### ***Autor pilnie poszukiwany 109***

Weszli do wytwornego holu w starym stylu, wykładanego ciemną boazerią. Meble pokryte były bordową tkaniną. Bez pośpiechu szli do recepcji, zostawiając na lśniąącym parkiecie mokre ślady.

- Pan Granville chce, żeby trasa promocyjna zrobiła wrażenie na jego kontrahencie, więc nie oszczędza. Panna Mason wypełnia tylko polecenia szefa, więc drogi hotel nie może być jej pomysłem. Praca jest całym jej życiem. Ciekawa jestem, co ta biedaczka robi, gdy pan Granville sprzedaje wydawnictwo. Będzie zmuszona przejść na emeryturę.

Maggie poszła za Markiem do windy. Ich pokoje znajdowały się na różnych piętrach. Czy gargulec wybrał dziewiąte i jedenaste, żeby nie ucierpiało poczucie przyzwoitości? Dzielące ich piętro należało uznać za strefę bezpieczeństwa.

- Zajrzę do ciebie, gdy wyschnę - obiecał Mark i uśmiechnął się do niej, nim wysiadł z windy. - Fajnie było razem moknąć - zapewnił, nim rozdzieliły ich zamykające się drzwi.

Maggie ze spuszczoną głową mijała lustra w korytarzu. Dopiero gdy weszła do pokoju, odważyła się popatrzeć na swoje odbicie i załamała ręce. Wyglądała jak zmokła kura. Przez mokrą tkaninę białej bluzki prześwitywał koronkowy stanik. Nic dziwnego, że Mark był taki rozbawiony. Na domiar złego pod cienkim żakietem rysowały się wyraźnie sterczące sutki. Trudno się dziwić, skoro trzęsła się z zimna w mokrym ubraniu. Normalna reakcja wychłodzonego organizmu. Rzecz jasna, nie ma mowy, żeby przypisać ją erotycznej ekscytacji.



## 110 *Jennifer Drew*

Przecież to wykluczone, żeby podniecała się w obecności Marka. Nic z tych rzeczy. Doskonale pamiętała, co czuła, obserwując, jak puszył się przed kobietami schlebiającymi jego próżności w czasie wieczoru autorskiego.

Zrzuciła mokre ubranie i wzięła prysznic. Długo stała pod strugami ciepłej wody. Po kąpieli zamiast przebrać się do kolacji włożyła różową nocną koszulę i ciepły bawełniany szlafrok w szerokie niebieskie pasy. Proszę bardzo, teraz Mark może dzwonić albo nawet wpaść. Już postanowiła, jak spędzi dzisiejszy wieczór.

Telefon zadzwonił po kilku minutach.

- Spotkamy się w holu? A może wolisz, żebym przyszedł po ciebie do pokoju?

Głos w słuchawce miał podobne brzmienie jak na żywo, bez pośrednictwa urządzeń technicznych. Rzadka cecha.

- Ani jedno, ani drugie.

- Sądziłem, że idziemy jeść. Widziałem tutaj pub stylizowany na angielski. Ciekawe miejsce.

- Nie, dziękuję. Idź sam.

- Powinnaś zjeść kolację.

- Zamówię coś do pokoju. Muszę jeszcze popracować. Przywiozłam maszynopis. Trzeba go pilnie zredagować.

- Pomogę ci. Zaraz tam będę.

- To nie jest dobry pomysł.

- Skoro tak uważasz...

W jego głosie słyszała ton obojętności. Ogarnięta przygnębieniem doszła do wniosku, że mu na niej

### ***Autor pilnie poszukiwany 111***

zależy. Czyżby w głębi ducha pragnęła, żeby upierał się przy swoim i siłą sforsował drzwi, byle tylko spędzić z nią ten wieczór?

Połączenie zostało przerwane, więc odłożyła słuchawkę. Po chwili telefon zadzwonił ponownie.

- Spotkajmy się w barze za kilka godzin. Nie chcę, żebyś przez cały wieczór siedziała w pokoju całkiem sama - powiedział Mark.

- Mnie to nie przeszkadza. Powinieneś być jechać w trasę z Rayanne. Byłaby dla ciebie dobrą towarzyszką, bo w przeciwieństwie do mnie uwielbia nocne życie. Nie zapominaj, że rano lecimy do Baltimore. Jutro spotykamy się w holu o siódmej.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział i natychmiast odłożył słuchawkę.

Cholerny Sully! Niech go diabli wezmą! Gdyby się z niej nie podśmiewał, gdyby nie był taki zachwycony hołdami napalonych bab...

To bez znaczenia. Podjęła decyzję i musi się jej trzymać. Z Markiem łączą ją wyłącznie sprawy zawodowe. O romansie nie ma mowy. Ten facet był zbyt niebezpieczny, żeby mogła sobie pozwolić na zacieśnienie znajomości. Żadnych kontaktów na prywatnym gruncie.

A jeśli to dowód paskudnego tchórzostwa? Może po prostu bała się oddać serce mężczyźnie przeżywającemu w rzeczywistości takie przygody, które sama tylko opisywała?

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Poprzedniego dnia Maggie ubrana w ciemny garnitur wyglądała jak własna ciotka, ale dziś Mark uznał, że jest zachwycająca, choć nie był skłonny do szafowania komplementami. Ubrała się w jasnożółtą sukienkę. Elastyczna tkanina podkreślała znakomitą figurę. Mark rozpoznał bawełnianą dzianinę, z której szyto T-shirty, ale kreacja Maggie poza materiałem nie miała nic wspólnego z banalnymi koszulkami. Ramiona były odsłonięte, dekolot intrygujący, a co najważniejsze długość mini pozwalała cieszyć oko widokiem zgrabnych nóg od połowy ud aż po szczupłe kostki.

W Baltimore wylądowali z opóźnieniem, bo w Filadelfii jeden pas startowy był zablokowany. Stała na nim maszyna, która nie mogła wystartować

### ***Autor pilnie poszukiwany 113***

z powodu awarii. Gdy w końcu dotarli do celu podróży, musieli się bardzo spieszyć, żeby zdążyć na spotkanie autorskie w kolejnej księgarni.

- Wielkie gmaszysko - oznajmił Mark, gdy wynajętym samochodem wjechali na imponujący parking obok centrum handlowego, gdzie znajdowała się księgarnia. Maggie uparcie milczała. Zapewne nadal była zła. Uparła się, że będzie prowadzić. Mark skwapliwie zgodził się na to, ponieważ nie znosił miejskiego ruchu. Trochę bładzili, choć pilotował ją z planem miasta w rękę. Gdy pomylili zjazd z autostrady, nie winiła go, ale przestała się odzywać.

A może była taka drażliwa z tego samego powodu, który wczoraj przyprawił go o bezsenność? Pokoje oddzielone piętrem podobnie jak osobne śpiwory stanowiły przykrą i niepotrzebną uciążliwość. Mark coraz jaśniej zdawał sobie sprawę, że pragnie Maggie i chce z nią być. Gdy wyskoczyła z auta i pobiegła do wejścia, z trudem dotrzymywał jej kroku.

- Nie jesteśmy spóźnieni. Zdążyliśmy na czas - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Wiem, ale przedstawiciele mediów już tu są. Wczorajsze spotkanie było swoistą rozgrzewką. Po drugiej stronie ulicy znajduje się ogromne centrum turystyczne, gdzie można kupić sprzęt, odzież, krótko mówiąc wszystko, co się wiąże z wypoczynkiem. Klienci często zaglądają do najbliższej księgarni, pytając o przewodniki, więc ten dział jest szczególnie hołubiony, bo przynosi spory dochód.

## 114 *Jennifer Drew*

- O co chodzi z tymi mediami?

Gdy znaleźli się przy drzwiach, pchnęła je sama, nie czekając, aż ją wyręczy.

- Będzie telewizja.

- Mam się wygłupiać przed kamerami? Przygotowałam więcej takich niespodzianek?

- Nie sądzę.

Stanęli u wejścia do imponującej sali sprzedaży zastawionej regałami, na których czekały karnie barwne tomy.

- Popatrz! Tam stoi operator. - Maggie ruchem głowy wskazała znużonego bruneta z sumiastymi wąsami, który metodycznie sprawdzał wszystkie urządzenia gwarantujące dobrą jakość obrazu.

Do gości podeszła Dorothy Kroger, dyrektorka księgarni. Maggie, nie tłumacząc się Markowi, zniknęła na zapleczu. Mark i bez niej dałby sobie radę. Zrobił z siebie mięczaka i nerwusa, bo chciał uzyskać jej zgodę na wspólny wyjazd. Udawanie poczytnego autora, spotkania autorskie i podpisywanie książek nie stanowiły dla niego problemu. Najgorsze, że wściekał się, kiedy Maggie zniknęła mu z oczu. Była denerwująca, nie pasowała do niego, ale opanowała mu umysł. Miał powody do obaw, ponieważ ostatnio na niczym nie potrafił się skoncentrować. Wręcz obsesyjnie myślał o Maggie. Po raz pierwszy w życiu przeżywał takie zauroczenie. Zadawał sobie pytanie, co się z nim dzieje. Dlaczego uganiał się za dziewczyną, która nigdy nie zaakceptuje jego stylu życia? Nic nie będzie z tej znajomości. Wątpił, żeby mieli szansę być

### ***Autor pilnie poszukiwany 115***

parą. Maggie gardziła podróżami, nie znosiła wypoczynku na świeżym powietrzu i czuła się szczęśliwa, mając etat i pracując od dziewiątej do piątej. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to nie potrafił się uwolnić.

Podeszła do niego kierowniczką księgarni.

- Chciałabym panu kogoś przedstawić. To jest Georgia Gainsborough z lokalnej telewizji.

- Miło mi panią poznać.

Ujął dłoń mocno tapirowanej blondynki ubranej w obcisłą czerwoną sukienkę. Popatrzył na długie czerwone szpony. Ciekawe, jak szybko połamałyby się podczas jednej z jego wypraw w nieznane. Wyglądały groźnie i zdawały się ostre jak sztylety.

Przez chwilę rozmawiał z Georgią o przewodnikach i opowiadał swoje przygody. Oto czym zajmują się autorzy promujący swoje książki: gadają o głupstwach i robią sobie reklamę. Mark czuł się nieswojo, ponieważ reporterka podeszła zbyt blisko. Czuł zapach dobrych perfum, ale odnosił wrażenie, że został zepchnięty do narożnika. Potrzebował swojej sekundantki. Gdzie jest Maggie? Teraz naprawdę była mu potrzebna.

Dyrektorka wskazała miejsce za długim stołem. Leżały na nim przewodniki. Każdy klient wchodzący do księgarni musiał tamtędy przejść. Łowcy autografów natychmiast hurmem ruszyli po zdobycz. Gdy Mark na moment podniósł głowę, zobaczył Maggie. Stała w pobliżu, przekomarzając się z dwoma młodzianami. Obaj trzymali w rękach przewodniki, ale nie pchali się do stolika po autograf.

*Jennifer Drew*

- Widzę, że czwarty tom już macie - zagadnęła Maggie.  
- Poprzednie też. Są świetne. Korzystamy z nich, planując wyprawy. Mark, który ukradkiem nadstawiał ucha i bezwstydnie podsłuchiwał, był szczerze zadowolony, że ktoś używa przewodników zgodnie z przeznaczeniem zamiast traktować je jako przyjemną lek-turkę na zimowe wieczory.

Siedząca przy stole dziennikarka pochyliła się ku Markowi. Ich twarze dzieliło niespełna dziesięć centymetrów.

- Ależ pan musi być silny, żeby walczyć z nurtem i falami. Wiosłowanie to trudny sport.

Obiecał sobie, że jeśli blond babsko dotknie jego bicepsa, zrezygnuje z udziału w tej farsie i opuści księgarnię. Facet nie może się tak poniżyć tylko dla pieniędzy.

A dla miłości?

Pod wpływem niepokojącej myśli zaczął się nagle podpisywać się jako M. S. Stevens literami o połowę większymi niż poprzednio. Skarcił się za nieuwagę i rozumniej składał autografy, żeby przez niedbalstwo nie użyć swego nazwiska.

Blond dziennikarka pochyliła się w jego stronę, śmiało prezentując wspaniały dekolt.

- Odniósł pan dzisiaj wspaniały sukces - zagadnęła.

- Przesada. Sprzedałem tylko kilka książek.

- Może porozmawiamy przy kolacji? Trzeba się

### ***Autor pilnie poszukiwany 117***

zastanowić nad przyczynami pańskiego ogromnego powodzenia -  
szczebiotała przymilnie Georgia.

- Obawiam się, że wieczorem mamy ważne spotkanie - przerwała  
Maggie, która skończyła rozmowę z dwoma młodzianami i podeszła do  
stołu.

- Moja menedżerka - powiedział Mark i natychmiast zaczął się  
denerwować, bo użył niewłaściwego określenia. Chodziło mu przecież o  
agentkę. Zresztą kto by się w tym wszystkim od razu połapał?

- Pisarze mają swoich menedżerów? - spytała zdziwiona dziennikarka.

- Owszem, jeśli odnoszą takie sukcesy jak pan Stevens - wyjaśniła  
Maggie głosem ociekającym fałszywą słodyczą, jakby nagle zapomniała,  
że dziennikarze są czwartą władzą zdolną utrać albo napędzać kariery.

- Proszę mi dać wizytówkę - zaproponował Georgii Mark, który właśnie  
sobie o tym przypomniał. - Zadzwoń do pani, jeśli uda się przełożyć  
spotkania.

Mrugnął do niej porozumiewawczo. Miał nadzieję, że da się ułagodzić  
tym gestem, a M. S. Stevens nie będzie mieć w przyszłości kłopotów z  
mediami.

- Czekam niecierpliwie - zapewniła i odeszła, zmysłowo kołysząc  
biodrami.

- Zyskałeś nową wielbicielekę - stwierdziła drwiąco Maggie.

- Doskonale. Taki jest przecież cel i sens tej promocji.



*Jennifer Drew*

- Owszem, ale nie pojmuję, dlaczego ja mam w niej uczestniczyć. Doskonale sobie radzisz bez mojej pomocy.

Napór łowców autografów chwilowo zelżał, więc Mark wstał, żeby rozprostować nogi i nacieszyć się bliskością jadowitej pseudoagentki. Dzielilo ich zalewie kilka centymetrów, a miał wrażenie, jakby stali na przeciwległych krańcach bezdennej przepaści.

- Pozory mylą - odparł z powagą. - Sama nie wiesz, ile ci zawdzięczam. Gdy jesteś w pobliżu, niestraszne mi żadne wyzwanie. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Mogę nawet udzielić wywiadu!

Maggie przyciągała go jak magnes. Co miał zrobić, żeby uwolnić się od miłosnej obsesji? Doskonale wiedział, jak chce żyć i nie godził się na niewolniczą egzystencję u boku dziewczyny, która nie podziela jego upodobania do wypraw w nieznane. Westchnął ciężko, poczuł kuszący zapach perfum i zapragnął wtulić twarz w szyję Maggie. Życie byłoby prostsze, gdyby zrezygnowała z tych zmysłowych woni.

Spotkanie z czytelnikami trwało dwie godziny. Maggie przeżywała katusze, obserwując kobiety wdzięczące się do Marka. Gdy minął czas przeznaczony na rozmowy z czytelnikami i udzielanie autografów, przeszli się po centrum handlowym, zjedli obiad i dla zabicia czasu poszli do kina.

- Fajnie ci się gadało z tymi dwoma młodziana-

### ***Autor pilnie poszukiwany 119***

mi, kiedy w pocie czoła podpisywałem książki. Co to za faceci? Koledzy z podstawówki? Rozmawialiście jak starzy znajomi.

- Tutaj ich poznałam. Naprawdę są fajni. Jeden pracuje jako ortodonta, drugi jest zatrudniony w firmie spedycyjnej, która, o ile dobrze pamiętam, zajmuje się transportem komputerów. Rozmawialiśmy o moich przewodnikach. Wszystko ich ciekawiło. Pytali o pracę pisarza. Chyba wymknęło mi się, że robiłam kwerendę.

- Chyba? - powtórzył ironicznie. - Wyciągali cię na zwierzenia?

- Ależ skąd! Byli po prostu sympatyczni. Co innego ta pirania z telewizji.

- Mnie się wydała bardzo miła - droczył się z nią Mark.

- Śmiało! Przed tobą całe popołudnie. Masz wizytówkę, zadzwoń do tej jędzy. - To była ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, ale chciała udowodnić, że wcale jej na nim nie zależy.

- Nie jest w moim typie - mruknął, obrzucając Maggie znaczącym spojrzeniem. Odwróciła wzrok, żeby się przed nim nie zdradzić.

Maggie nie przewidziała, że podczas wspólnej podróży każdy temat, choć trochę bardziej interesujący niż pogoda, będzie ich doprowadzał do stanu wrzenia. Oboje walczyli z nieodpartą pokusą.

- Możesz prowadzić, jeśli chcesz - oznajmiła wspaniałomyślnie.

- Skoro sobie tego życzysz...

- Mnie jest wszystko jedno.

## 120 *Jennifer Drew*

- W porządku. Daj kluczyki.
  - Rzadko myślę zjazdy, ale w podróży prześladowuje mnie pech.
  - Nie mów bzdur. Nie wierzę w żadnego pecha.
  - Wziął kluczyki i otworzył przed nią drzwi od strony pasażera.
  - W podróży nigdy mnie nie opuszcza. Ilekroć ruszam w drogę, dzieją się rozmaite okropności.
  - Źle skręciłaś i co z tego? Tamta pomyłka to nie złośliwość losu. Po raz pierwszy jechałaś nową trasą, być może nie byłaś dostatecznie skupiona.
  - Wręcz przeciwnie! Gdy nasza podróż dobiegnie końca, sam się przekonasz, że jestem pechowcem - ostrzegła. - Ilekroć opuszczam dom, zaraz coś się dzieje. Nawet gdy jadę do supermarketu, czekają mnie paskudne niespodzianki: ktoś uderzy wózkami albo przejedzie po palcach. Łatwo powiedzieć, że to bzdury, że zmyślam albo żartuję.
  - Uśmiechnęła się smutno, bo uświadomiła sobie, że nigdy nie sprostą oczekiwaniom Marka.
- Wybuchnął śmiechem, ale zdawał sobie sprawę, że mówiła serio. Oboje milczeli, jadąc do hotelu, w którym mieli zarezerwowany nocleg. Mark nienawidził miasta i panującego w nim ruchu, a Maggie z kolei obawiała się lasów, w których buszowały niedźwiedzie i pełzały węże.
- Naprawę musimy przejechać całe miasto, żeby dotrzeć do hotelu, gdzie mamy nocować? - narzekał Mark, prowadząc bez zapału, ale dość udatnie.
  - Według gargulca... - Nie powinna tak nazy-

*Autor pilnie poszukiwany*

121

wać sekretarki pana Granville'a, choć przezwisko nadane przez Rayanne było trafne i dość zabawne. - Panna Mason twierdzi, że to uroczy pensjonat nad samym morzem. Podobno w okolicy jest co zwiedzać: ciekawe nabrzeże, port jachtowy. Zacofana prowincja.

- Zacofana? - powtórzył. To określenie najwyraźniej nie przypadło mu do gustu.

- Jakoś dotrwamy do rana. Lepsze to niż nocleg w namiocie.

Maggie przyjemnie się rozczarowała. Pensjonat King's Row okazał się obszernym pałacem w stylu wiktoriańskim. Fasada przyciągała wzrok mnóstwem ozdobnych detali i łagodnymi pastelowymi barwami. Wystrój wnętrza stanowił dla gości całkowite zaskoczenie.

W holu królował mierny portret Edgara Allana Poe, najsłynniejszego pisarza mieszkającego w Baltimore. Pomieszczenia były mroczne, ponure, niepokojące. Długie wąskie okna sięgające niemal do podłogi spowite były aksamitnymi zasłonami. Dominowały mocne nasyczone barwy: krwista czerwień, głęboka czerń, brunatne drewno.

Ciasna winda z kutego żelaza zawiozła Maggie i Marka na drugie piętro, gdzie były tylko dwa pokoje zarezerwowane właśnie dla nich. Łazienkę mieli na dole. Właścicielka przeproszała za tę niedogodność.

Maggie była mocno zdziwiona, gdy okazało się, że między ich pokojami są drzwi, zamykane na zasuwkę i klucz. Usłyszała zgrzyt zamka. Mark

*Jennifer Drew*

zajrzał do jej pokoju. Wymownym gestem wskazał staromodny rygielek.

- Najprostsze rozwiązania gwarantują stuprocentowe bezpieczeństwo - oznajmiła kpiąco. - Nie ma to jak staromodne i solidne żelastwo.

- Wystrój wnętrz jest u ciebie jeszcze bardziej odjazdowy niż u mnie - powiedział Mark, rozglądając się uważnie.

Tapeta w srebrzyste pasy, zasłony i narzuta z czarnego aksamitu, ręcznie robione białe serwetki na zagłówku fotela, toaletce i biurczku, haftowane krzyżykami purpurowe serce nad łóżkiem, a po bokach dwie makatki z wizerunkami kruków; wypisz, wymaluj jak w horrorach Poego.

- Zajrzyj do mnie. Też jest na co popatrzeć - zachęcił Mark.

Torbę podróżną rzucił na łóżko przykryte szkarłatną aksamitną kapą. Ten sam kolor miały zasłony podwiązane czarnymi sznurami.

- Edgar Allan Poe niech sobie straszy do woli, a my poszukajmy dobrej restauracji. Pensjonat oferuje tylko śniadania. Brak tu jadalni.

Szli ulicą, trzymając się za ręce jak zakochani, choć oczywiście nic ich nie łączyło. Znaleźli knajpkę oferującą dania z ryb i owoców morza.

Maggie zamówiła zupę rybną i smażone kraby. Podjadała także wybranego przez Marka homara. Obżerała się bez opamiętania, bo miała nadzieję, że po obfitej kolacji zaśnie jak kamień, zapominając o drzwiach łączących pokoje.

Ufała Markowi, ale nie wierzyła samej sobie.

### *Autor pilnie poszukiwany 123*

Spędziła w jego towarzystwie uroczy wieczór i marzyła, żeby zamknęły się wokół niej mocne ramiona. Ale nie mogła sobie na to pozwolić.

Niewiele brakowało, żeby zakochała się w Marku na śmierć i życie.

Gdyby pozwoliła tej miłości rozkwitnąć, przeżyłaby ogromny zawód, ponieważ nie była w stanie dzielić jego pasji. Za dużo włączył się po świecie: w jednym miesiącu spływ kajakowy góorskimi rzekami, w następnym wspinaczka po stromych górach, potem wyprawa do tropikalnej dżungli.

- Dobranoc - powiedział Mark, gdy odprowadził ją pod same drzwi. Tak się jej przyglądał, że ledwie zdołała włożyć klucz do zamka.

- Dobranoc.

- Nie zamknę drzwi od mojej strony. No wiesz, na wypadek, gdyby duch Poego za bardzo ci się naprzykrzał.

- Przestań wygadywać takie głupstwa. Nie wierzę w duchy.

Rozeszli się do swoich pokoi. Maggie odczekała trochę w nadziei, że Mark szybko położy się spać. Zeszła do łazienki dopiero, gdy zniknęła smuga światła widoczna w szparze pod drzwiami łączącymi dwa pomieszczenia. Horyzont był czysty. Nareszcie miała względną swobodę. Łazienka okazała się ogromna jak na współczesne standardy. Prawdziwy salon kąpielowy. Stała tam duża wanna na stylizowanych nóżkach podobnych do lwich łap. Była też, zapewne od niedawna, bardzo nowoczesna kabina prysznicowa. Maggie

## **124 Jennifer Drew**

wybrała kąpiel w wannie. Dolała do wody sporą porcję olejku lawendowego i leżała w niej tak długo, aż skóra na dłoniach całkiem się pomarszczyła. Wytarta do sucha narzuciła koszulę nocną oraz ciepły szlafrok i pobiegła do swego pokoju.

Miała nadzieję, że po gorącej kąpieli szybko ogarnie ją senność, ale srodze się zawiodła. Nerwy wciąż miała napięte jak postronki. Gdyby natychmiast wskoczyła do łóżka, i tak przewracałaby się bezsenne z boku na bok. Zgasiła górne światło, a także wszystkie lampki, podeszła do okna i obserwowała rozgwieżdżone niebo nad Baltimore oraz typową dla miast delikatną poświatę. Wkrótce poczuła się zmęczona, więc postanowiła iść w końcu do łóżka, ale gdy zaciągnęła zasłonę, uderzyło ją, że w pokoju panuje całkowity mrok. Ani odrobiny światła w szparze pod drzwiami na korytarz, ani śladu czerwonych cyfr na wyświetlaczu elektronicznego zegara, który stał na nocnym stoliku. Barwne kontrolki stacjonarnego telefonu także pogasły. Awaria zasilania? Nie było prądu w całym budynku? A może tylko w tych dwu pokojach, przerobionych z dawnych słuźbówek, gdzie przed laty gnieździły się ubogie dziewczyny, w pocie czoła pracujące na chleb. Te biedactwa miały ciężkie życie, więc jeśli to prawda, że dusze pokutujące zostają tam, gdzie spotkała je krzywda...

Już miała wskoczyć do łóżka i naciągnąć wysoko kołdrę, gdy usłyszała cichutkie postukiwanie. W pierwszej chwili ogarnięta paniką chciała wybiec na korytarz i uciec z feralnego pokoju, lecz po

### ***Autor pilnie poszukiwany 125***

chwili zorientowała się, że pukanie dobiega od strony drzwi łączących oba pokoje.

Nim położyła się spać, zasunęła rygiel, ale nie przekręciła klucza w zamku.

- Czy to ty, Mark? - zapytała, odruchowo zniżając głos do szeptu, bo wydawało jej się, że w ciemności nie należy mówić głośno.

- Oczywiście. Wszystko w porządku?

- Tak. Dlaczego miałoby być inaczej? Myślałam, że śpisz.

- Materac jest dla mnie zbyt miękki - wyjaśnił Mark.

- Sądzisz, że powinniśmy gdzieś zadzwonić, i zgłosić, że nie mamy prądu? - spytała.

- Właściciele na pewno już się zorientowali.

- A jeśli awaria nastąpiła jedynie na tym piętrze?

- Potrzebne ci światło?

- Nie, ale radiobudzik jest na prąd. Z samego rana ruszamy do Waszyngtonu.

- Słońce wschodzi dużo wcześniej, a ja budzę się o świcie.

- Co mówiłeś? - Nie słyszała wszystkich jego słów. Miała wrażenie, że odwrócił się i zamierza wrócić do łóżka.

- Otwórz drzwi - poprosił głośno i wyraźnie.

To nie był dobry pomysł, ale postanowiła zlekceważyć wszystkie sygnały alarmowe wysyłane przez mózg. Wymacała rygiel, ale po chwili znieruchomiała z ręką na zasuwce.

Właściwie nie miała żadnego racjonalnego po-



## 126 *Jennifer Drew*

wodu, żeby wpuścić Marka do swojego pokoju, ale drżała na całym ciele, zastanawiając się, co z tego wyniknie.

- Och, kochanie - zaczął niepewnie, jakby lękał się, czy nie dostanie bury za użycie zdrobnienia. - Wydaje mi się, że w moim pokoju straszy.

- Nie żartuj! - zachichotała nerwowo.

- Mówię, jak jest. Nieustannie mam przed oczyma piękną dziewczynę.

Cały drzę, nie mogę zasnąć - szeptał zmysłowym głosem zza drzwi zamkniętych na zasuwkę.

- Wyobraźnia płata ci figle. W ciemnym, dziwnym pokoju trudno nad nią zapanować.

- Mnie się to wydaje całkiem realne - przekonywał. - Wpuścisz mnie, jeśli ci powiem, że duch Poego siedzi na moim łóżku?

- Wiem, że kłamiesz jak z nut.

Palce Maggie żyły własnym życiem. Odsunęły rygiel, choć sobie tego nie życzyła.

Cofnęła się i pozwoliła Markowi wejść do pokoju.

Nie ukrywał, że przyszedł tu, żeby ją uwieść, a ona nie zamierzała się bronić. Oboje dokonali wyboru, chociaż dopiero teraz, w ciemnym wnętrzu jak z horrorów Poego, wśród czerni i czerwieni aksamitu wreszcie to sobie uświadomili.

Mark objął Maggie i przytulił. Westchnęła zadowolona i nagle przestała się denerwować. Mimo to w głębi duszy dręczyła ją obawa, że pożałują wkrótce dzisiejszej decyzji i będą przez nią cierpieć.

### ***Autor pilnie poszukiwany 127***

Mark przycisnął usta do jej czoła, a choć pieścizoty były łagodne i czułe, nogi się pod nią ugięły. Przesunęła dłońmi po bokach Marka i uświadomiła sobie, że jest zupełnie nagi. Wstrzymała oddech.

- Co się stało? - zapytał, całując jej przymknięte powieki. W ciemnościach ledwie go widziała, toteż wołała zdać się na pamięć i wyobraźnię.

Ciepły oddech ogrzał jej szyję, gdy Mark przesunął po niej ustami.

- Och, cudownie - jęknęła mimo woli. - Nie powinniśmy... - zaczęła, obsypując pocałunkami jego policzki.

Powiedziała to dla zasady, bo tak naprawdę nie chciała, żeby ją zostawił i wrócił do swojego pokoju. Cała płonęła, dręczona pożądaniem. Uniosła ramiona, zdjęła nocną koszulę i rzuciła ją w głąb pokoju. Po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na tak śmiały gest. Mark wziął ją na ręce, zaniósł do swojego pokoju i ułożył na wielkim łóżku.

- Szkoda, że nie ma światła - mruknął, całując i głaszcząc jej piersi, brzuch i uda. Omijał sekretne miejsca, gdzie najbardziej pragnęła być dotykana.

Miała wrażenie, że lada chwila oszaleje ze szczęścia. Z entuzjazmem oddawała pocałunki i pieścizoty, zachwycała się zapachem jego skóry, głaskała policzki, szorstkie od wieczornego zarostu. Przepelniona radością i pijana rozkoszą bez powodu zaczęła chichotać, bo nie miała pojęcia, jak wyrazić narastające w niej cudowne emocje.

- Śmiejesz się ze mnie? - zapytał, raczej ubawiony niż dotknięty.

*Jennifer Drew*

- Nie! Jest mi tak dobrze, że nie wiem, jak to wyrazić.

- Zaraz coś na to poradzimy.

Wsunął dłoń między jej uda. Poczowała, że jest w niej, choć jeszcze nie całkiem. Dotykał jej tylko zamiast posiąść. Kiedy nareszcie stali się jednością i zaczęli się poruszać w jednym rytmie, jej świat eksplodował czarodziejską feerią barw.

Długo leżeli przytuleni i doskonale szczęśliwi. Dużo później, gdy niebo na wschodzie rozjaśnił pierwszy brzask, Maggie uznała, że najchętniej do końca życia zostałaby z Markiem w tym łóżku. Wkrótce pierwsze słoneczne promienie wpadły do mrocznego pokoju przez szpary w aksamitnych zasłonach.

- Trzeba jechać - powiedział, całując jej ramię i głaszcząc krągłe biodro.

- Jedź sam - mruknęła. Całkiem opadła z sił.

- Mowy nie ma.

- Nie chciałam z tobą jechać, ale teraz cieszę się, że ustąpiłam.

- Ja również. - Pocałował ją w ucho. Zrobił to specjalnie, żeby otrząsnęła się z bezwładu wywołanego rozkosznym zaspokojeniem. Przeniknął ją cudowny dreszcz. Spojrzała mu prosto w oczy i omal nie wybuchnęła płaczem, bo uświadomiła sobie, że spełniły się jej najgorsze przeczucia: była zakochana w Marku Sullym.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Maggie po raz dziesiąty i jedenasty odsłuchiwała wiadomość pozostawioną przez Marka. Wciąż nie była w stanie dojść, o co mu chodzi. Mieli gdzieś razem wyjechać. Znała tego faceta jak zły szeląg i była świadoma, że mogą znaleźć się w dowolnym punkcie ziemskiego globu albo... pojechać na frytki do najbliższego baru. Mark Sully był nieprzewidywalny. Z tymi frytkami jednak trochę przesadziła, bo oprócz lakonicznej informacji o planowanej wyprawie zostawił także listę rzeczy, które powinna ze sobą zabrać. Nie było na niej piżamy, a zatem w tej kwestii miała pełną dowolność. Na wszelki wypadek wrzuciła do walizki luźne bawełniane spodenki i spraną koszulkę. Oprócz tego miała

### **130 Jennifer Drew**

w walizce dzinsy na zmianę, dwa T-shirty, sweter, kostium kąpielowy i kosmetyczkę z przyborami toaletowymi. Mark zapowiedział, że ma się nie pokazywać bez kremu ochronnego z wysokim filtrem i środka przeciwko insektom. To pewne, że planował jakąś wyprawę. Maggie, rzecz jasna, miała złe przeczucia.

Obiecał przyjechać po nią w piątek o szóstej. Była gotowa znacznie wcześniej i siedziała jak na rozżarzonych węglach. Gdy zadzwonił do drzwi, natychmiast pobiegła otworzyć. Była uradowana jak nastolatka przed pierwszą randką.

- Dobra, Sully - przywitała go w progu. - Nie ruszę się stąd na krok, jeśli mi nie powiesz, co jest grane. Dokąd jedziemy? Co ty knujesz?

Bez słowa wziął małą walizkę, a potem delikatnie, lecz stanowczo chwycił Maggie za ramię i pociągnął za sobą. Sięgnął po klucze i starannie zamknął drzwi mieszkania. Nie chciała robić scen, więc z kwaśną miną poszła za nim do auta. Otworzył bagażnik dzipa i wrzucił jej bagaż.

- Mówiłam serio, Mark. - Założyła ramiona na piersi i stanęła na szeroko rozstawionych nogach, jakby wrosła w chodnik.

- Nie lubisz niespodzianek? Zapewniam cię, że to będzie fantastyczna wyprawa. Bardzo proszę, zaufaj mi.

- Dobra, ale jeśli chcesz, żebym znowu spała w namiocie, natychmiast wybij to sobie z głowy.

- Żadnych namiotów. - Posłusznie kiwnął głową i uśmiechnął się serdecznie.

### ***Autor pilnie poszukiwany 131***

- Jedno ci powiem: nie muszę ciebie słuchać, nie mam ochoty robić tego, co zaplanowałaś. Jadę wyłącznie po to, żeby zaspokoić własną ciekawość.

- Nie będziesz zawiedziona - odparł rozpromieniony.

Miała ochotę go wyczuwać, ale stał się dziwnie niedostępny i zdystansowany. Kto by pomyślał, że kilka dni temu kochali się namiętnie w Baltimore.

Rozmowa się rwała, więc Maggie zaczęła drzemać i w efekcie przespała całą podróż. Kiedy się obudziła, zapadał zmierzch. Jechali górskimi serpentynami. Śniły jej się takie rzeczy, że po przebudzeniu była zła, zawiedziona i niezaspokojona.

- Gdzie jesteśmy? - burknęła opryskliwie, żeby ukryć zmieszanie.

- Zbliżamy się do miejscowości Decra w Zachodniej Wirginii. Tam przenocujemy.

Wkrótce wjechał do sennego miasteczka i zaparkował przed niekształtnym, przysadzistym budynkiem. Wzdłuż fasady biegła weranda, a na piętrze wąski balkon. Neonowe litery układały się w napis. Pensjonat Charlotte. Noclegi, śniadania.

- Tutaj się zatrzymamy?

- Tak. Mamy osobne pokoje.

Maggie zmierzyła go pytającym spojrzeniem, ale udał, że tego nie widzi. Herb Quinn, właściciel pensjonatu, upewnił się dwukrotnie, czy aby na pewno pan Sully życzy sobie, żeby on i jego towarzyszka podróży zamieszkali osobno. Sprawiał wrażenie, jakby nic z tego nie rozumiał.

### 132 *Jennifer Drew*

- Śniadanie wydajemy od szóstej do ósmej - poinformował, mocno zbity z tropu.

Maggie zrobiła wielkie oczy, bo miała spore wątpliwości, czy o tej porze normalny człowiek jest w stanie coś przełknąć, ale Mark kiwnął tylko głową, jakby informacja była dla niego oczywista.

- Dostanę całusa na dobranoc? - zapytał przymilnie, gdy stanęli przed drzwiami wskazanych przez Herba pokoi. - Odwaliłem kawał dobrej roboty, więc chyba zasłużyłem na nagrodę.

- Nadal nie wiem, co zaplanowałaś i co ci się za to należy. Dlaczego tu przyjechaliśmy?

- Jutro się dowiesz... - Puścił do niej oko, gdy pokazała mu język. Pochylił się i pocałował ją czule, ale gdy zachęcająco rozchyliła wargi, odsunął się i cmoknął ją w czubek nosa. - Musimy rano wstać - oznajmił takim tonem, jakby to wiele wyjaśniało.

- Nie zamierzam zrywać się o świcie, żeby zjeść tu śniadanie.

- Zaufaj mi - powtórzył. - Nastaw budzik. Spotykamy się w holu o szóstej. Pocałował ją w czoło. Parodia, a nie całus! Zniknął w swoim pokoju, więc nie pozostawało jej nic innego, jak tylko iść do siebie. Zamknęła się na klucz, spoglądając z odrazą na małą walizkę, którą wniósł na górę pracownik pensjonatu. Złościła się na siebie, że przespała podróż i teraz była całkiem rozbudzona. Marzyła o nocy w ramionach Marka.

Odbiło mu czy co? Dlaczego zachowywał się dziwnie? Czemu tak się zmienił i trzymał ją na

### ***Autor pilnie poszukiwany 133***

dystans, chociaż weekend we dwoje był jego pomysłem?

- Drań! - mruknęła z wściekłością.

Usiadła na brzegu łóżka, gapiąc się bezmyślnie na splewiałe wzory pomarańczowo-żółtej tapety. I pomyśleć, że jej życie było takie proste, zanim pojawił się w nim Mark Sully.

Następnego dnia rano wyszło szydło z worka. Gdy Maggie usłyszała, jakie atrakcje przygotował dla niej Mark, omal go nie udusiła. Jej zdaniem zasługiwał na śmierć w męczarniach.

- Mam z tobą na pontonie popłynąć bystrą górską rzeką? Jak ci szaleńcy, których pokazują w telewizji? Czy ty masz dobrze w głowie? Już ci mówiłam, że prześladowuje mnie pech! Nie tylko ja ucierpię, innym też stanie się krzywda. Takie już moje zezowate szczęście. Nie popłynę!

- Dobra, jak chcesz. Czekać w pensjonacie. Wypływam na cały dzień.

- Zostawisz mnie samą, bo wolisz ryzykować życie na pontonie?

- Owszem, ale nie zapominaj, że chciałem dzielić z tobą to doświadczenie. Łudziłem się, że wcale nie jesteś takim tchórzem, jakiego udajesz. Podczas tej wycieczki trochę byś zmokła, ale miałabyś świetną zabawę.

- Wątpliwe.

- Poza tym zdobyłabyś doświadczenie potrzebne każdemu pisarzowi.

- Rozmawiam z ekspertami. To wystarczy.



### **134 Jennifer Drew**

- Jesteś oszustką. Dajesz czytelnikom do zrozumienia, że wszystko, co opisujesz, znasz z autopsji. Ściemniasz, kochanie. Wciskasz ludziom kit, a oni myślą, że jesteś bardzo odważna. Stroisz się w cudze piórka!

- Co ty wygadujesz?

- Przecież słyszałaś. Więcej ci powiem. Gdybyś odważyła się przeżyć choć część opisywanych przez siebie przygód, nie musiałabyś nikogo wynajmować, żeby udawał M. S. Stevensa, tylko sama podpisywałabyś książki i opowiadała na pytania czytelników.

- Nie jestem tchórzem. Mam tylko pecha! Zawsze tak było!

- A Filadelfia, Baltimore, Waszyngton? Nic się nie stało, prawda? Wszystko poszło jak z płatka. Powiem więcej: było cudownie! Sama widzisz, że twoja hipoteza została obalona. Daj się przekonać i zaryzykuj. Ten jeden raz!

Maggie znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Gdyby nie popłynęła, Mark utwierdziłby się w przekonaniu, że ze strachu unika konfrontacji z życiem oraz dziką przyrodą, a zarazem bez skrupułów pozwala wierzyć czytelnikom, że jest wytrawną podróżniczką. Gdyby uznał, że jego zarzuty się potwierdziły, nie chciałby z nią mieć więcej do czynienia. Wczoraj był taki obojętny... Czyżby podejrzewał ją o interesowność i chęć oszukiwania innych? Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. Nie mogła bez niego żyć. Trudno, dla miłości powinna zaryzykować.

### ***Autor pilnie poszukiwany 135***

- Dobrze, popłynę. Co mam robić? - zapytała, kapitulując z ponurą miną. Dołączyli do grupy śmiałków szykujących się do spływu górską rzeką. Dwoje przewodników tłumaczyło, jak się mają zachowywać. Maggie czuła się jak przed operacją migdałków, którą przeszła jako dwunastolatka. Musiała przetrwać, więc zbierała siły i powtarzała sobie, że jakoś to będzie, choć skóra jej cierpła na samą myśl o traumatycznym doświadczeniu. Oby tylko nie przyplącała go życiem.

- Dasz sobie radę. - Mark poklepał ją po ramieniu.

Poczuła się jak bezbronna dziewczynka w obliczu życiowej katastrofy. Wszyscy uczestnicy spływu wsiedli do pontonów i chwycili za wiosła. Wczesnym popołudniem Maggie była wykończona. Od wiosłowania bolały ją ramiona, przemokła, wciąż nie mogła dojść do siebie po mocnych wrażeniach, których dostarczyło jej sforsowanie pontonem wysokiego na dwa metry wodospadu. Czuła się, jakby przepłynęła Niagarę! Złapała się na tym, że wybuchnęła radosnym śmiechem, gdy załoga gładko pokonała niebezpieczny wir. Mark raz po raz zerkał na nią przez ramię. Nie chowała do niego urazy. Zrozumiała wreszcie, dlaczego ludzie kupują jej przewodniki i w kontakcie z dziką przyrodą szukają mocnych wrażeń.

Mark był przygotowany na najgorsze. Zaryzykował

### **136 Jennifer Drew**

szaloną wyprawę, aby udowodnić Maggie, że nie trzeba kryć się przed życiowymi zagrożeniami i chować głowy w piasek. Jego zdaniem powinna czerpać pełnymi garściami z uroków tego świata. Nie miał pojęcia, czym skończy się dla nich obojga ta eskapada. Liczył się z tym, że Maggie ucieknie z krzykiem i nie będzie chciała go więcej widzieć. Podjęła wyzwanie, sprawdziła się w niebezpiecznych sytuacjach i najwyraźniej czerpała radość z pokonywania własnych lęków i słabości. Był z niej dumny i miał nadzieję, że zostanie mu wybaczony sposób, w jaki zmusił ją do uczestniczenia w górskim spływie pontonowym.

Gdy wracali do pensjonatu autobusem podstawionym przez organizatorów imprezy, policzki miała zaróżowione, a ciemne włosy potargane i nastroszone. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

- Fajnie było - powiedziała, gdy usiadł obok niej na podniszczonym czarnym fotelu.

- Cieszę się, że ci się podobało.

Chętnie podroczyłby się z nią, przypominając, jakim była głuptasem, upierając się przy swoim zdaniu, ale znacznie bardziej pragnął kochać się z nią do utraty tchu.

- Aż trudno uwierzyć, ile radości daje taka wyprawa - szepnęła bardziej do siebie niż do niego, a potem dodała głośniejszym głosem: - Wszystko było tak, jak opisałam w książce. Wiedziałam, że mogę ufać moim źródłom i ekspertom. Chce mi się jeść. Nigdy w życiu nie byłam taka głodna - mruknęła, przytulając głowę do jego ramienia.

### ***Autor pilnie poszukiwany 137***

Zapadał zmierzch, gdy autokar zatrzymał się przed pensjonatem. Mark był trochę zmęczony, ale nie zamierzał tego wieczoru rozstawać się z Maggie. Długo całowali się przed wejściem. Burczenie w brzuchach przypomniało im, że od śniadania niewiele jedli.

Właściciel wpuścił ich do kuchni i pozwolił do woli buszować w swoich zapasach. Posileni kanapkami i młodym winem, ruszyli na górę.

Nieprędko tam dotarli, bo całowali się na schodach tak wąskich, że z trudem mieściła się na nich czule objęta para. Gdy Maggie szukała w torebce klucza, Mark wsunął jej ręce pod bluzkę i dotykał piersi. Razem weszli do pokoju. .

- Muszę na moment skoczyć do swojego pokoju - mruknął, całując ją w ucho.

- Nie puszczę cię - zapowiedziała, rozpinając mu dzinsy.

- Przypomnij mi, abym wymógł na tobie obietnicę, że z nikim nie będziesz się upijać tanim winem. Błyskawicznie uderza ci do głowy i wtedy przestajesz myśleć.

- Od razu mogę ci to obiecać.

- Trzeba się zabezpieczyć, kochanie. Zaraz wracam - mamrotał bez tchu. Odrzucił kapek, zostawiając ją w nogach łóżka, i odsunął kołdrę.

Uśmiechnięta Maggie usiadła na brzegu pościelenia i spojrzała na niego czule wielkimi piwnymi oczami. Niewiele brakowało, żeby poddał się nastrojowi chwili i nie bacząc na konsekwencje, wziął ukochaną w ramiona, ale

### **138 Jennifer Drew**

przemógł się i popędził do siebie. Był człowiekiem przezornym, więc przyjechał tu przygotowany na wszelkie ewentualności, ale wystarczyłby kolejny namiętny pocałunek, żeby zapomniał o całym świecie.

Wpadł do swego pokoju, pogrzebał w torbie podróźnej i wyciągnął bezcenny pakiecik. Kiedy przybiegł z powrotem, trzymając go w dłoni, drzwi do pokoju Maggie były zamknięte, ale ustąpiły, gdy nacisnął klamkę. Pograżona w głębokim śnie leżała zwinięta w kłębek pośrodku łóżka. Była w ubraniu, zdjęła tylko buty. Zamknął drzwi i usiadł obok niej na brzegu pościeli. Czule pogłaskał ciemne włosy i pocałował ją w policzek.

Ani drgnęła.

Wyciągnął się obok niej, co okazało się niełatwym zadaniem, ponieważ łóżko było wąskie, a Maggie leżała pośrodku. Objął ją mocno, ale mamrotała i wierciła się niespokojnie, więc musiał rozluźnić uścisk.

Zawiedziony i wciąż mocno podniecony, szeptem powtarzał jej imię, ale nie zareagowała.

Złościł się na siebie, bo powinien przewidzieć, że po wysiłku fizycznym i wielu godzinach spędzonych na świeżym powietrzu wino podziała na nią usypiająco. Powinien wcześniej o tym pomyśleć. Gdyby Maggie do kolacji piła herbatę zamiast nędznego cienkusa, teraz kochaliby się jak szaleni. No cóż, trudno... Sam był sobie winien. Musiałby teraz mocno potrząsnąć Maggie, żeby ją obudzić, a i tak byłaby pewnie nazbyt zmęczona, żeby

### ***Autor pilnie poszukiwany 139***

oddawać jego pieszczoty i pocałunki z równym zapałem jak w Baltimore. Długo leżał obok niej bez ruchu, analizując sytuację. Zabierając ją na spływ, chciał udowodnić, że i ona jest w stanie czerpać z życia pełnymi garściami, ciesząc się urokiem dzikiej przyrody. Teraz po prostu jej pragnął, ale zasnęła kamiennym snem. Uznał, że to znak od losu. Jedna udana wyprawa niewiele zmieniła. Nadal miał wątpliwości, czy oboje zdolni są do kompromisu. Jak miałyby wyglądać ich wspólne życie. Czy Maggie zechce dzielić z nim podróżnicze doświadczenia? Jak ma uczynić ją szczęśliwą, skoro jego sposób życia mimo wszystko jest dla niej nie do przyjęcia?

Nie był ponurakiem, ale uznał, że powinien na parę miesięcy skryć się w leśnej głuszy i tam zapomnieć o Maggie.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

- Wyrzekam się uroczyście mężczyzn oraz marnego czerwonego wina! - oznajmiła Maggie, gdy w poniedziałek jadła obiad z Rayanne. Była ponura i zde gustowana, ale doceniała usiłowania przyjaciółki, która próbowała ją rozweselić.

- Podsumujmy - zaproponowała mentorskim tonem Rayanne. - Bawiłaś się świetnie, polubiłaś spływy górskimi rzekami, ale i tak uważasz, że ty i Mark nie możecie być razem, mimo że zaczynasz dzielić jego pasje. Miała na sobie czerwony top i czarną spódniczkę. Była to zapowiedź, że w jej życiu kończy się epoka fascynacji gotyckim romanssem i mrozącymi krew w żyłach horrorami. Kolejne potwierdzenie stanowiła zmiana koloru szminki. Ciemną śliwkę,

### ***Autor pilnie poszukiwany 141***

czern i głęboką purpurę zastąpiła wiśniowa czerwień. Maggie podejrzewała, że mroczne barwy i klimaty stanowiły u Rayanne swoistą manifestację lęku przed utratą pracy. Względna pewność jutra wpłynęła także na kolorystykę jej ubrań.

- To by się zgadzało - odparła Maggie, obficie polewając sosem sałatkę ze szpinaku. Ze zmartwienia straciła apetyt. - Najbardziej niepokoi mnie fakt, że w pensjonacie zarezerwował osobne pokoje. Myślę, że chciał mnie podnieść na duchu i udowodnić, że mogę żyć pełnią życia, ale nie jest mną zainteresowany.

- Czy ja wiem? - mruknęła bez przekonania Rayanne, obficie polewając frytki keczupem.

- Za parę tygodni Pierpont przejmie wydawnictwo i z pewnością będzie nalegał, żeby M. S. Stevens wrócił do promowania serii przewodników. Zapowiada się kolejna trasa promocyjna, a sytuacja jest dziwna. Zadaję sobie pytanie, czy Mark znowu zażyczy sobie, żebym z nim pojechała. Na pewno nie jestem mu potrzebna. Oczywiście wyruszyłabym w jednej chwili, gdybym mogła liczyć, że wspólna podróż nas zbliży, ale szczerze mówiąc, nie wiem, na czym stoję. Moim zdaniem, Mark nie chce się wiązać z dziewczyną, której żywiołem jest miasto. To oczywiste, że się dla niego nie nadaję. Nie lubię jeździć pod namiot, wędrować z plecakiem. Ogólnie rzecz biorąc, podróże mnie nie kręcą. Wiesz? Myślę, że poszedł po rozum do głowy i dlatego już mnie nie chce. W jego życiu nie ma dla mnie miejsca - oznajmiła z ponurą determinacją.



## 142 *Jennifer Drew*

- Skąd ta pewność? Może jednak?

- Gdybym pojechała z nim promować przewodniki, będę jak piąte koło u wozu i w niczym mu nie pomogę. Ma świetny kontakt z czytelnikami, bryluje podczas spotkań autorskich, ma własny krąg zainteresowań, całkiem różny od mojego. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby właśnie teraz planował zimowy wypad na Antarktydę.

- Trochę tam zimno, ale niska temperatura dobrze wpływa na urodę. Mogłabyś z nim pojechać. Zobaczyłabyś na własne oczy polarne niedźwiedzie.

Trzeźwe rady Rayanne miały sens, ale Maggie nie przyjmowała ich do wiadomości, ponieważ była głęboko przekonana, że tylko cud mógłby uratować jej związek z Markiem albo sprawić, żeby przestała obsesyjnie tęsknić za ukochanym.

- Tu nie chodzi o mnie. Mark Sully to samotny wilk. Nie życzy sobie, żebym się przy nim kręciła i zakłócała mu spokój. Wiesz, o czym rozmawialiśmy wczoraj, kiedy wracaliśmy do domu?

Rayanne pokręciła głową.

- O pogodzie! A także o geologii na przykładzie Appalachów, ponadto o nartach i snowboardzie.

- Niezbyt romantyczne tematy, chociaż o nartach sama chętnie bym pogadała. No wiesz: modne miejsca, fajne ciuszki i gadżety. Wyobraź sobie, że szusuję po stoku w czarnym kombinezonie! Kontrast pierwsza klasa! Każdy mnie zauważy.

Maggie uśmiechnęła się z ociąganiem. Ostatnio była tak ponura, że mięśnie twarzy same układały

### ***Autor pilnie poszukiwany 143***

jej się w smętny grymas, ale wesoła i beztraska paplanina Rayanne zawsze poprawiała jej humor.

- Wiesz co? Mam pomysł! Zamiast się zamartwiać, musisz polatać ze mną po sklepach. Zaraz nabierzesz wigoru. Teraz są świetne wyprzedaże. Idziemy kupić buty. Potrzebne mi są platformy, najlepiej różowe. Idę na imprezę retro z bardzo fajnym facetem. Mam nadzieję, że coś z tego będzie. Chcę wyglądać jak hipisowskie dziecko kwiat: spodnie-dzwony, różowe platformy, obcisły top. Rewelacja! Starzy przysłali mi urodzinową kasę, więc mogę zaszaleć. To co? Idziemy?

- Dobra! - przytaknęła Maggie. - Wiesz co? Ja też kupię sobie platformy. Muszę zaszaleć. Łatwiej mi będzie nabrać dystansu do tych wszystkich kłopotów.

Obeszły wiele sklepów, nim znalazły odjazdowe buty. Rayanne kupiła różowe sandały, a Maggie spodobały się rudawe, na korkowej podeszwie, które miały prawie osiem centymetrów wysokości.

- Ekstra! - zachwycała się Rayanne. - Musisz je przymierzyć!

Nie musiała jej tego dwa razy powtarzać. Maggie sama była ciekawa, czy potrafi chodzić w takich butach. Gdy spacerowała między półkami, wpadli na nią dwaj chłopcy, którzy uznali sklep obuwniczy za świetne miejsce do zabawy w berka.

- Dlaczego rodzice nie pilnują tych smarkaczy - złościła się Rayanne.

Chłopcy wykonali zwrot i popędzili prosto na Maggie, która potknęła się na śliskiej podłodze, straciła równowagę i upadła jak

## **144 Jennifer Drew**

długa. Próbowwała wstać, ale jęknęła boleśnie. Noga szybko zaczęła puchnąć. Wystraszeni chłopcy zbiegli z miejsca wypadku. Przerażony sprzedawca natychmiast zadzwonił do punktu opieki medycznej. Pojawił się sanitariusz z wózkiem inwalidzkim. Furgonetka centrum handlowego zawiozła Maggie do najbliższego szpitala. Rayanne nie odstępowała przyjaciółki. W izbie przyjęć była długa kolejka. Minęło kilka godzin, nim ofiara rozbitych kości wróciła do swego mieszkania. Wkrótce leżała na kanapie. Pod zwichniętą kostkę i obolałe łokieć podłożyła poduszki. Wypożyczone ze szpitala kule leżały w zasięgu ręki. Maggie usłyszała od lekarza, że co najmniej przez czterdzieści osiem godzin powinna ograniczyć chodzenie, żeby nie forsować obolałej kostki. Wkrótce okazało się, że jej niedyspozycja wypadła bardzo nie w porę. Gdy Maggie trochę ochłonęła po nieprzyjemnych przeżyciach i wzięła mocne środki przeciwbólowe, dostrzegła mrugający sygnalizator automatycznej sekretarki.

Wiadomość zostawił jej szef, pan Granville. Pierpont, wykorzystując znajomości, sprawił, że jedna z nowojorskich stacji telewizyjnych zwróciła się do wydawnictwa z pytaniem, czy M. S. Stevens nie zechciałby możliwie szybko udzielić wywiadu. Najlepiej pojutrze. Od pana Granville'a dowiedziała się, że powinna jutro lecieć do Nowego Jorku. Maggie popatrzyła z obawą na swoją kostkę spuchniętą jak balon pod szpitalnym opatrunkiem. Zastanawiała się, jak Mark zareaguje na tę nagłą

### ***Autor pilnie poszukiwany 145***

zmianę planów Nie można wykluczyć, że odmówi udzielenia wywiadu i zerwie kontrakt... Oszołomiona środkami przeciwbólowymi Maggie była zbyt senna, żeby się tym przejmować.

Gdy następnego dnia Mark otrzymał z wydawnictwa tę samą informację, w pierwszej chwili zachnął się, ale potem obiecał polecieć. Dotrzymywał słowa, a na dodatek podpisał ten piekielny kontrakt. Nieważne, jakoś się z tym upora. Miał teraz na głowie poważniejsze problemy. Obiecał sobie, że zapomni o Maggie. Daremne wysiłki. Ciągle stawała mu przed oczami jej zarumieniona buzia ginąca pod burzą włosów. Dałby się zamknąć w klatce z małpami i podpisywałby książki, jak długo trzeba, byle tylko znów się z nią zobaczyć. I tak diabli wzięli stanowcze postanowienia. Dzwonił do niej wiele razy, ale nie podnosiła słuchawki. Wiedział, że tak będzie. Maggie zaakceptowała szalony pomysł ze spływem po górskiej rzece, ale to niczego nie zmieniło. Nadal sądziła, że nie ma dla nich przyszłości, więc unikała kontaktu.

Powinienem o niej zapomnieć, pomyślał Mark. Jedna cudowna noc i jeden dzień wśród spienionych fal niewiele zmieniły. Nadal dramatycznie różnili się od siebie, a ich światy nie miały żadnego wspólnego obszaru. A wspólna przyszłość? Nie potrafił sobie wyobrazić, że jest żonatym człowiekiem, a Maggie zapewne nie zgodziłaby się na rolę wiecznej kochanki. Mimo pozorów obyczajowej swobody była tradycjonalistką. Podejrzewał nawet,

*Jennifer Drew*

że chętnie wyszłaby za niego za mąż i założyła rodzinę.

Małżeństwo? Dzieci? Rodzina? Co go podkusiło, żeby myśleć o takich sprawach?

Nieważne... Czekala go podróż do Nowego Jorku, o której myślał z odrazą. Następnego dnia punktualnie przyjechał na lotnisko w Plttsburghu. Pocieszał się myślą, że lada chwila zobaczy Maggie i spędzi z nią trochę czasu.

Na krótko przed zakończeniem odprawy do sali odlotów wpadła sekretarka z Domu Wydawniczego Granville.

- Maggie nie może lecieć. Skręciła nogę w kostce i przez kilka dni musi zostać w domu. Dwaj smarkacze staranowali ją w centrum handlowym, bawiąc się w berka. Jestem Rayanne Jordan, młodszy redaktor i asystentka Maggie. Będę ją zastępować. Nawiasem mówiąc, pan mnie zna. Spotkaliśmy się, gdy pierwszy raz wpadł pan do nas, żeby oddać Maggie kopertę.

- Pamiętam. Nie potrzebuję niańki, Rayanne. Sam poradzę sobie w Nowym Jorku - odparł Mark, mierząc krytycznym spojrzeniem ubraną na czarno dziewczynę. Jedyne barwne akcent stanowiła wściekle zielona kamizelka.

- Nie wątpię, ale to ja mam wszystkie dokumenty i notatki związane z tym wyjazdem. Szefowa mi je przekazała. Pogadamy w samolocie.

Mark westchnął ciężko, ale ustąpił. Rayanne załatwiała formalności, więc poszukał budki telefonicznej, wrzucił kilka monet i zadzwonił do Mag-

### ***Autor pilnie poszukiwany 147***

gie. Na szczęście nie musiał zaglądać do notesu, bo jej numer znał na pamięć.

- Słyszałem, że skręciłaś nogę w kostce - powiedział, gdy odebrała. Nie miał pewności, czy naprawdę miała wypadek, czy też kłamie, bo nie chce z nim lecieć do Nowego Jorku. Była w domu, a nie w pracy, co czyniło opowieść Rayanne dość wiarygodną, chociaż w pierwszej chwili miał spore wątpliwości, gdy usłyszał o chłopaczkach bawiących się w berka wśród sklepów i stoisk centrum handlowego.

- Gdzie jesteś? - zapytała takim tonem, jakby okropnie ją wystraszył.

- Na lotnisku.

- Polecisz do Nowego Jorku, prawda?

- Nie mam wyboru. Dowiem się, jaki jest prawdziwy powód twojej nieobecności? Dlaczego zrezygnowałaś z podróży i wystawiłaś mnie do wiatru?

- Prawdziwy powód! Szkoda, że tego nie widzisz! Moja kostka przypomina spory melon. Przez parę dni mam ją trzymać w górze i prawie nie wstawać.

- Znowu dał znać o sobie twój słynny pech?

- Mówisz o nim takim tonem, jakbym była nałogową kłamczuchą i wymyślała na poczekaniu niestworzone historie.

- Nie przypominam sobie, żebym tak twierdził.

- Na to zgoda, ale jesteś nastawiony bardzo sceptycznie.

- A ty możesz mi dać słowo, że nie boisz się przebywać w moim towarzystwie?

## **148 Jennifer Drew**

- Dlaczego miałabym się bać?

- Bo uświadamiam ci, że za bardzo boisz się życia i dlatego nie czerpiesz z niego pełnymi garściami.

- O której odlatuje twój samolot? Chyba powinieneś się pośpieszyć, a nie gadać głupstwa. - Po jej głosie poznał, że jest wściekła.

- Odlatuję dopiero za godzinę.

Tak się cieszył, jadąc na lotnisko. Był pewny, że wkrótce ją zobaczy, i srodze się rozczarował.

- W takim razie życzę przyjemnej podróży.

- Wątpię, żeby była udana. Westchnął i odłożył słuchawkę.

Długo rozmawiali, a jednak nie pozbył się wątpliwości. Gdy nieopatrznie zdradził się z tym, Maggie omal nie rzuciła słuchawki. Kłamała czy mówiła prawdę? Nie potrafił tego dociec. Za mało ją znał, żeby rozstrzygnąć ten dylemat. Na domiar złego oboje czuli się teraz rozżaleni. Było mu ciężko na sercu, gdy szedł w stronę bramki, gdzie miała się odbyć kontrola osobista. Strasznie tęsknił za ukochaną. Bez niej wszystko traciło sens, a jego życie wydawało się puste.

Wyjazd do Nowego Jorku okazał się męczący, ale udany. Wywiad był wprawdzie dla Marka trudną próbą, ale rzekomy M. S. Stevens zrobił dobre wrażenie i mógł w przyszłości liczyć na dobre recenzje.

Z telewizyjnego studia natychmiast pojechali na lotnisko. Mark uparł się, żeby wracać pierwszym

### ***Autor pilnie poszukiwany 149***

samolotem. Chciał jak najszybciej zobaczyć się z Maggie. Rayanne nie protestowała.

W Pittsburghu byli o siódmej wieczorem. Mark skontaktował się z babcią, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Byłoby mu łatwiej, gdyby miał przy sobie komórkę, ale na czas swojej nieobecności zostawił ją dobremu znajomemu i najbliższemu sąsiadowi babci. Josh Tylor nie chciał mieć własnego aparatu, bo uważał, że komórka to rodzaj smyczy, ale przyjął do wiadomości argumenty Marka, któremu bardzo zależało na tym, żeby babcia miała w pobliżu bliskiego człowieka, do którego mogłaby zwrócić się o pomoc, gdyby stało się coś złego.

Po rozmowie z babcią natychmiast zadzwonił do Maggie. Zaczynał się od niej uzależniać.

- Jak się czujesz?

- Nieźle. Mam ci przesłać zwolnienie lekarskie?

- Nie kpij. Marnie ci to wychodzi.

- Widzę, że według ciebie nie mam żadnych zalet. Oferma do kwadratu.

- Przestań się złościć. Wpadnę do ciebie jutro - oznajmił, nie pytając jej o zdanie.

- Przykro mi, ale pocałujesz kłamkę. Będę w pracy. Na dwunastą Pierpont zwołał konferencję prasową, żeby oficjalnie poinformować o kupnie wydawnictwa. Muszę się pokazać w firmie. Skoro transakcja została sfinalizowana, zamierzam wreszcie powiedzieć mu, że jestem autorką przewodników. Najwyżej wywali mnie z pracy. Nieważne.



## **150 Jennifer Drew**

Znajdę inną. Przykro mi tylko, że zostaniesz bez zajęcia.

- Szczerze mówiąc, niechętnie udawałem M. S. Stevensa.

- W takim razie masz powody do radości. Nie będziesz musiał dłużej tego robić.

Oboje uznali, że wszystko zostało powiedziane i odłożyli słuchawki.

Następnego dnia Maggie przykuśtykała do wydawnictwa okropnie zdenerwowana. Odczekała, aż wyjdą dziennikarze, operatorzy i reporterzy. Dopiero wtedy podeszła do nowego szefa.

- Panie Pierpont, czy możemy chwilę porozmawiać?

- Ależ tak! - odparł jowialnie. - Zawsze mam czas dla moich podwładnych.

- Zajmę panu tylko chwilę. - Udało jej się odciągnąć szefa na bok, z dala od ciekawskich uszu. - Sprawa dotyczy przewodników.

- Doceniam pani wkład w ich wydanie. Mam nadzieję, że to początek udanej współpracy. Rozkręcimy serię i...

- Chciałam poinformować pana...

- To Maggie je pisze, a ja tylko firmuję swoim nazwiskiem - usłyszała znajomy głos.

Serce biło jej szybko i mocno, a tekst wyznania, którego nauczyła się na pamięć, natychmiast wyleciał z głowy.

- Bez niej w ogóle nie byłoby serii „Wyprawa w nieznane”. Dlatego uważam, że nazwisko autor-

*Autor pilnie poszukiwany*

151

ki powinno być odtąd umieszczane na okładce i karcie tytułowej.

- Mark, po co...

- Granville, pan o tym wiedział? - Pierpont zwrócił się do współnika, który stał za wielkim biurkiem. Był mocno zakłopotany.

- Jakże to ma znaczenie, skoro seria znakomicie się sprzedaje? - wtrącił Mark. - Maggie świetnie pisze, ale nie lubi taniego poklasku. Woli pozostać w cieniu i robić swoje, a panu się to opłaca.

- Owszem, ma pan rację - przyznał po namyśle Pierpont. - Jedno z czołowych nowojorskich wydawnictw zaproponowało mi nawet wspólną reedycję serii. Można na tym sporo zarobić.

- I bardzo dobrze. Liczy się zysk - odparł Mark. Maggie zastanawiała się, kto oprócz niej jest

świadomy, że Mark kpił sobie z Pierponta. Stawiała na pana Granville'a. Od pamiętnej konferencji prasowej minęły dwa tygodnie. Mark zamilkł. Nie dzwonił, nie odwiedzał jej... jakby się zapadł pod ziemię. Nie wiedziała, co o tym myśleć, lecz wołała mu się nie narzucać. Miał o niej bardzo złe mniemanie, ale uratował ją, gdy szczerym wyznaniem mogła narazić na szwank swoją pisarską karierę. Postanowiła czekać cierpliwie. Z konieczności będą musieli wkrótce podjąć współpracę i napisać razem kolejny przewodnik. Może wtedy uda się usunąć nieporozumienia? Nie zamierzała niczego przyspieszać. Spokojnie czekała, aż Mark się do niej odezwie. Tymczasem od-

## **152 Jennifer Drew**

wiedziała rodziców, którzy wrócili z wojaży i chwilowo przebywali w domu, oraz siostrę, która prawie go nie opuszczała, wytrwale poszukując samej siebie.

W piątek po jej powrocie do domu Mark wreszcie zadzwonił.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - sumito-wał się, ponieważ godzina była późna.

- Och nie! - uspokoiła go natychmiast, starając się nadać głosowi spokojne i przyjazne brzmienie.

- Jak się czujesz?

Głupie pytanie. Cierpiała męki, ponieważ umierała z tęsknoty.

- Świetnie - odparła krótko, żeby za dużo nie kłamać.

- Zastanawiam się, czy masz ochotę wpaść do nas na obiad...

- Do Cory?

Mile zaskoczyło ją to zaproszenie, ale nie robiła sobie wielkich nadziei.

Mark chciał, żeby odwiedziła jego babcię. Nie ma w tym krzty romantyzmu. Zwykła wizyta, nic więcej. Postanowił zapewne omówić harmonogram pracy nad nową książką i plan spotkań z czytelnikami.

- Nie jestem pewna, czy pamiętam, jak tam dojechać, a notatki mi zginęły.

- Nie przejmuj się drobiazgami. Przyjadę po ciebie koło czwartej. Zabierz trochę rzeczy. Przenocujesz u nas.

Odłożył słuchawkę, nim zdążyła zapytać, dlaczego chce zatrzymać ją na noc.

### ***Autor pilnie poszukiwany 153***

Przyjechał punktualnie. Kiedy go zobaczyła, serce biło jej tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi, ale w końcu się uspokoiło. Nie musiała brać ze sobą walizeczki. Od pewnego czasu nosiła w torbie szczoteczkę do zębów, zmianę bielizny i podstawowe kosmetyki. Na wszelki wypadek. Tłumaczyła sobie, że Mark chciał ją zatrzymać na noc, żeby nie jechać po ciemku do miasta.

Gdy dotarli na miejsce, Cora przywitała ją niczym przyjaciółkę rodziny. Tym razem ugotowała potrawkę z warzyw. Dogadzała Maggie jak córce marnotrawnej, która nareszcie zdecydowała się powrócić na łono rodziny. Jej atencja była wręcz kłopotliwa, zwłaszcza że Maggie nie rozumiała, czemu zawdzięcza owe względy.

- To jest Josh Taylor - powiedział Mark, przedstawiając jej postawnego mężczyznę w roboczym kombinezonie i z brodą, której nie powstydziliby się święty Mikołaj. - Pomaga mi budować dom, a przed laty pracował tutaj z dziadkiem.

- Nie tylko ja. Cała okolica pomogła - wtrącił starszy pan z przyjaznym uśmiechem.

Kiedy jedli, Mark rozmawiał z nią przyjaźnie. W aucie też był miły, ale jego uwagi wydawały się zdawkowe. Same ogólniki. Maggie nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Dlaczego chciał się z nią zobaczyć? I po co została tutaj zaproszona?

- Dni robią się coraz krótsze - powiedziała znacząco Cora, gdy jedli pyszne ciasto.

- Babciu... - Mark rzucił starszej pani ostrzegawcze spojrzenie.

## 154 *Jennifer Drew*

Maggie nie miała pojęcia, czy ma się cieszyć, czy martwić. Całkiem prawdopodobne, że Mark zamierza opowiedzieć babci i Joshowi o ich przyszłej współpracy przy kolejnych przewodnikach. Jeśli tak, wołała tego nie słyszeć. Smuciła się, że mężczyzna, którego kochała, chce być teraz dla niej tylko partnerem w Interesach. Z rozpaczą myślała, że on jest dla niej... wszystkim.

- Zamierzam ci jeszcze coś pokazać. Skończyłaś jeść, prawda?

Aha, czas się żegnać. Mark daje znak do odjazdu.

- Dzięki, Coro. Wszystko było pyszne. Cieszę się, że ciebie poznałam, Josh.

Chwyła torbę i poszła za Markiem, który wyszedł przed dom. Miało się już ku wieczorowi. Coraz krótsze dni przypominały o nadchodzącej zimie. Mark ujął dłoń Maggie i bez słowa ruszyli na płaskowyż.

Gdy wyszli na otwartą przestrzeń, nie wierzyła własnym oczom.

- Dom już stoi!

- Jest trochę większy, niż planowałem.

- Mark, jaki piękny! Czerwonawe drewno sekwoi idealnie pasuje do zielonego dachu. Mogę wejść do środka?

- Po to cię tutaj przyprowadziłem.

Objął ją ramieniem i z zapalem opowiadał o przebiegu budowy.

- Zatrudniłem cieśnię, bo uświadomiłem sobie, że w przeciwieństwie do mojego dziadka nie jes-

### ***Autor pilnie poszukiwany 155***

tem urodzonym budowniczym. Mamy własny generator, więc prądu nam nie zabraknie.

Nam? Maggie wstrzymała oddech. Odniosła wrażenie, że śni i widzi pierwszą gwiazdkę mrugającą nad koronami drzew, w których szumi wiatr. Miała omamy. Pewnie dlatego, że tak bardzo pragnęła być z Markiem.

- Spieszyłem się, nie chciałem przeciągać tej budowy - tłumaczył, gdy obchodzili dom. - Josh ściągnął tu wszystkich swoich kuzynów. Pomagali za piwo, pizzę i amunicję do zimowych polowań. Myślę, że świetnie się spisali. Dom jest w porządku.

Maggie miała łzy w oczach, gdy weszli do środka i Mark pokazywał jej pokoje o seledynowych ścianach. Terakotowe podłogi utrzymane były w nieco ciemniejszym kolorze. Salon był pusty. Stały tam jedynie dwa krzesła ogrodowe z metalu i żółtozielonej plecionki.

- Jest łazienka, ciepła woda. Krótko mówiąc, dom z wygodami. Tam znajduje się sypialnia. Mamy łóżko, resztę mebli sama powinnaś wybrać. Ale nie uprzedzajmy faktów - mruknął, nieco zakłopotany.

Sypialnia była nieduża i przytulna. Stało w niej wiekowe, mosiężne, przyjemnie spatynowane łóżko przykryte nowiutką narzutą. Kwadraty zielone, żółte i czerwone tworzyły skomplikowany wzór.

- To jest dzieło twojej babci, prawda?

- Pracowała nad tą kapą dwa lata. Wszystkie kwadraty zszywała ręcznie".  
W ten sposób dała mi do zrozumienia, że już czas.

## 156 *Jennifer Drew*

- Na co? - zapytała bez tchu.

Kolana ugięły się pod nią, ale Mark objął ją i mocno przytulił, więc uniknęła upadku.

- Chciałbym, żebyś tu ze mną zamieszkała

- powiedział uroczyście.

- Żebym zamieszkała...

Nie była w stanie myśleć logicznie, więc powtarzała jego słowa.

- Nie na stałe. Zachowamy twoje mieszkanie w Pittsburghu. Nie oczekuję, że zrezygnujesz z pracy, ale Pete mówi, że pewne rzeczy możesz robić w domu i odsyłać pocztą elektroniczną. Wydawnictwo zapewni ci odpowiedni sprzęt.

- Jaki Pete?

- Pierpont. Jadę z nim na Alaskę łowić ryby. Krótka ekspedycja. Chyba rozumiesz, że od czasu do czasu muszę wyjechać. Odkąd przestałem udawać M. S. Stevensa, znów pracuję jako przewodnik. Już wiem, że każde rozstanie z tobą będzie mnie dużo kosztować, więc ucieszę się za każdym razem, gdy zechcesz mi towarzyszyć. - Uśmiechnął się i pocałował ją zachłannie. - Wyjdź za mnie, Maggie

- poprosił, tuląc ją tak mocno, że czuła bicie jego serca.

- Chcesz, żebyśmy się pobrali?! - zawołała zdumiona i uradowana.

- Postaram się wyrównać i utwardzić starą leśną drogę, która tutaj dochodzi. Dom nie będzie taką samotnią, gdy o każdej porze dnia i nocy będzie można wygodnie tu dojechać, nie rozwalając aut na wybojach.

***Autor pilnie poszukiwany 157***

- Mark, dość mam tej dokumentacji. Nie jestem inspekcją budowlaną. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała namiętnie. Poczowała smak cynamonu, wanilii... i szczęścia. Była w siódmym niebie.

- Mam rozumieć, że się zgadzasz - mruknął, wtulając twarz w jej włosy.

- Gdzie spędzimy miodowy miesiąc?

- W Tangerze, Tybecie, Timbuktu? Sama zdecyduj.

- Wolę zostać tutaj. - Wskazała łóżko. - Potem mogę iść za tobą na kraj świata. Wszędzie, gdzie zechcesz.

- Może jednak polubisz namioty?

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Już nie wierzyła, że ma w życiu pecha.

- Kocham cię, M. S. Stevens - powiedział, kładąc ją na łóżku i zasypując jej twarz słodkimi całusami.

Nie była w stanie wykrztusić słowa, ale teraz miała całe życie, żeby wyrazić bezmiar miłości, którą do niego czuła.